

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 6 października 1946 r.

Nr 40 (97)

# WALKA O ODBUDOWĘ NAUKI POLSKIEJ

## Rozmowa z prezesem Polskiej Akademii Umiejętności Kazimierzem Nitschem

Za rok Polska Akademia Umiejętności obchodzić będzie trzy ćwierci wieku swego istnienia. Społeczeństwo polskie widziało w niej i widzi dotąd najwyższą instytucję naukową polską, skupiającą czołowych uczonych z całej Polski w celu wspólnej pracy nad wywyższeniem nauki polskiej na najwyższy poziom.

Praca naukowa Akademii odbywała się w czterech wydziałach: filologicznym, historyczno-filozoficznym, matematyczno-przyrodniczym i lekarskim, każdy z wydziałów pracował w licznych osobnych komisjach, a „Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności”, wychodzące co miesiąc, informowały społeczeństwo o przebiegu posiedzeń poszczególnych komisji i całych wydziałów. „Rocznik Polskiej Akademii Umiejętności” przygotowywany na czerwcowe publiczne posiedzenie przynosił zestawienie całorocznego planu prac komisji i wydziałów, wielkich przedsięwzięć Akademii i pomnikowych wydawnictw, listę nowych badaczy, których spotkał zaszczyt powołania w poczet członków Akademii i nazwiska uczonych i artystów, wyróżnionych nagrodami z funduszy, którymi dysponowała Akademia dzięki wielkiej ofiarności społeczeństwa. Było to doroczne największe święto nauki polskiej.

Wojna zadała Akademii straszliwe ciosy. Choć wszystko, co tylko można było przewidzieć, wykonano zawczasu, choć mimo wybuchu wojny Akademia nie przerwała ani na jeden dzień swej działalności, straty w majątkach Akademii były katastrofalne. Potem przyszły jeszcze dotkliwsze straty. W pamiętnym dniu 6 listopada 1939 roku zostali aresztowani w uniwersytecie na „wykładzie” wraz z profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Akademii, sekretarz generalny, delegat Walnego Zgromadzenia i prawie wszyscy członkowie Zarządu mieszkający w Krakowie. W obozie koncentracyjnym lub tuż po opuszczeniu obozu zmarło męczeńską śmiercią ośmiu członków P. A. U., ogólne straty Akademii w okresie wojny wyraziły się przerażającą cyfrą siedemdziesięciu członków, w tym 39 członków czynnych i 31 członków korespondentów.

A jednak Akademia nawet w najcięższych chwilach nie zaprzestała swej działalności. Członkowie jej nie przestali naukowo pracować, odbywały się tajne zebrania komisji, od maja 1942 r. aż po koniec okupacji kontynuowano nawet, w sposób zorganizowany, pracę naukową nad przygotowaniem publikacji. Z udziałem 123 naukowców wykonano 87 rękopisów, niekiedy bardzo obszernych, wielotomowych, gotowych do druku, cały szereg prac był już na ukończeniu. Kiedy Armia Czerwona oswoiła Kraków od niemieckiego okupanta, natychmiast podjęto wszystkie prace w głównym budynku Akademii przy ulicy Sławkowskiej 17, ocalałym od grabieży dzięki obywatelskiej postawie oddanych Akademii dozorców, woźnych i urzędników.

Z dwóch dorocznych sprawozdań sekretarza generalnego Polskiej Akademii Umiejętności, profesora Tadeusza Kowalskiego, wiemy dokładnie, w jak ciężkich warunkach rozpoczęto nową pracę. Akademia opierała swój byt przed wojną na majątkach ziemskich, ofiarowanych jej

w różnych czasach przez różnych ofiarodawców. Dzięki celowej gospodarce i znacznym wkładom zdołano z tych majątków uczynić nie tylko poważne źródło stałych dochodów, ale i ważny warsztat prac doświadczalno-badawczych. W pierwszym roku wznowionych działań Akademia, pozbawiona swych majątków, musiała oprzeć swą gospodarkę na sprzedaży własnych wydawnictw i na dotacjach Ministerstwa Oświaty, które rozłożone na 6 miesięcy dały niespełna 120 000 zł miesięcznie. Te skromne dochody uniemożliwiły rozwinięcie szerszej działalności wydawniczej, kontynuowanie rozpoczętych już pomnikowych dzieł, druk tak niecierpliwie oczekiwanych podręczników i tych licznych prac naukowych, które w ciągu sześciu lat przerwy nagromadziły się w komisjach. Nawet w drugim okresie sprawozdawczym, choć warunki finansowe Akademii wyraźnie się polepszyły, działalność wydawnicza Akademii przedstawiała się niekorzystnie. Przed wojną wydawała Akademia rocznie 800 do 1000 arkuszy druku, tymczasem od lipca 1945 do czerwca 1946 wszystkie wydawnictwa Akademii dały zaledwie około 150 arkuszy, choć drukować można by więcej niż przed wojną, bo prócz normalnego rocznego dorobku naukowego są ogromne zaległości z okresu wojny. Również straty osobowe Akademii, rezultat przeżytych lat okupacji, są nadal bardzo bolesne. 7 stycznia 1946 r. zmarł prof. Stanisław Kutrzeba, prezes Akademii, jeden z najwybitniejszych i najczynniejszych jej członków, w dziesięć dni potem straciła Akademia swego wiceprezesa prof. Leona Marchlewskiego, a nielitościwa śmierć wciąż nowe zabiera ofiary z szeregu naszych najwybitniejszych uczonych.

Zaniepokojeni losem polskiej nauki i pragnąc poinformować społeczeństwo, jak przedstawia się twarde i uparta walka o odbudowę roli i znaczenia najwyższej instytucji naukowej, zwróciliśmy się do obecnego prezesa Polskiej Akademii Umiejętności z prośbą o udzielenie wywiadu.

Działalność profesora Kazimierza Nitscha silnie związana jest z Krakowem. Tu urodził się, tu kończył szkołę, tu doktoryzował się i habilitował. Początkowo był nauczycielem gimnazjalnym w Krakowie, od 1905 docentem Uniwersytetu, od 1910 profesorem filologii słowiańskiej, od 1929 profesorem języka polskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Akademia Umiejętności powołała go na członka korespondenta w 1911 r., członkiem czynnym Akademii został w 1924.

Uwięziony pamiętnego 6 listopada, mimo sędziwego wieku przetrzymał dzielnie obóz koncentracyjny i po powrocie na wiosnę 1940 do Krakowa zabrał się natychmiast do roboty. Ogłosił więc zeszyt czwarty „Języka Polskiego” pod fikcyjną datą „lipiec—sierpień 1939”, zajął się od sierpnia 1940 r. uporządkowaniem i dopełnieniem „Słownika staropolskiego”, zorganizował i przewodniczył 16 tajnym posiedzeniom Komisji językowej (od 2 lutego 1941 r.), na których 11 lingwistów przedstawiło 19 prac naukowych, nie przestając ani na chwilę kontynuować własnych badań. Przy pomocy Komisji ukończono też tom XV „Rocznika Słowistycznego”. Profesor Nitsch



Kazimierz Nitsch

pełnił obowiązki dyrektora Wydziału Filologicznego. W marcu 1946 powierzono mu najwyższą godność, jaką w Polsce osiągnąć może uczony, prezesurę Polskiej Akademii Umiejętności.

Prezes Akademii przyjmuje mnie z wyrozumiałym uśmiechem.

— Prawem dziennikarzy jest pytać. Jeśli prasa okazuje zainteresowanie losem nauki polskiej, należy to przyjąć z zadowoleniem. Akademia Umiejętności zawsze opierała się na życzliwości społeczeństwa i nadal na pomoc społeczeństwa liczy. Dowodem zainteresowania, jakie szeroka publiczność okazuje dla nauki, był liczny jej udział w dorocznych publicznych posiedzeniach Akademii, popyt na wydawnictwa naukowe, a zwłaszcza darowizny, które niegdyś stanowiły główną podstawę gospodarki Akademii.

— Jak obecnie, panie prezesie, przedstawiają się podstawy finansowe Akademii?

— Akademia zwróciła się w maju br. z ugotowanym memoriałem do Rządu R. P., prosząc o rozpatrzenie warunków bytu i o doraźną pomoc. Memoriał ten spotkał się z żywym zainteresowaniem zarówno u Prezydenta K. R. N., jak i u wszystkich trzech Wiceprezydentów, jak i u Premiera. Premier doraźnie przeznaczył nawet na potrzeby Akademii stałą rządową subwencję miesięczną, która stanowi jednak zaledwie 1/4 dochodu przedwojennej Akademii i sprawy jeszcze nie załatwia. Czekamy na ugruntowanie bytu P. A. U. na drodze ustawodawczej.

— Słyszałem, że Akademia otrzymała już część swoich majątków?

— Wskutek starań u Rządu R. P. przekazało nam rzeczywiście Ministerstwo Rolnictwa sześć majątków, w tym trzy dawne Akademii, na razie tylko do użytkowania. Otrzymałyśmy je jednak znacznie uszczuplone i ogromnie zniszczone. Doprowadzenie tych majątków do dawnej ich użyteczności wymaga czasu i wielkich wkładów. Mam nadzieję, że niebawem uda się nam jednak, dzięki długoletniemu doświadczeniu i fachowemu siłom, uczynić z tych dóbr szereg ważnych placówek rolniczo-leśnych, a z uzyskanych funduszy wzmocnić zasoby Akademii, co by się równocześnie przyczyniło do od-

ciążenia budżetu państwowego. Akademia chce oprzeć swój byt na trwałych podstawach i dąży do odzyskania tych darowizn, które niegdyś od społeczeństwa polskiego otrzymała. Prace Akademii wymagają poważnych wpływów, aby można było doprowadzić do końca te wszystkie wielkie dzieła, które rozpoczęto już od lat i aby stać nas było na realizowanie nowych, wymaganych przez rozwój nauk i nowe warunki życia.

W 1945 roku dochody Akademii spadły do 1/30 tych środków, którymi rozporządzaliśmy przed wojną, w 1946 sytuacja się poprawiła, ale nie do tego stopnia, aby można było wzmocnić działalność wydawniczą, ożywić naszą współpracę z zagranicą, uruchomić należycie nasze placówki naukowe w kraju i poza krajem i zapewnić naszym uczonym warunki sprzyjające pracy badawczej.

— Prócz działalności wewnątrz Polski P. A. U. miała przed wojną państwowo przyznaną reprezentację całej nauki polskiej za granicą, np. wyznaczenie delegatów polskich na międzynarodowe zjazdy. Czy obecnie jest tak nadal?

— Niestety nie zawsze. Muszę jednak nadmienić, że rola P. A. U. nie ograniczała się tylko do wyznaczania reprezentacji i udziału w zjazdach. Akademia miała dwie stacje naukowe polskie: Bibliotekę Polska w Paryżu i stację naukową w Rzymie. Przetrwały one szczęśliwie wojnę, ale wymagają pewnej reorganizacji. Stuletnia Biblioteka Polska w Paryżu zachowuje oczywiście swą funkcję, ale obok niej, choć w związku z nią, musi być tam stworzona ściśle naukowo-badawcza stacja. W tej chwili jako urzędowy delegat Akademii bawi w Paryżu prof. Stanisław Wędkiewicz. Do Rzymu natomiast w takimże charakterze pojechał prof. Jan Dąbrowski. P. A. U. myśli jeszcze o innych tego rodzaju stacjach, np. w Moskwie.

— Dlaczego nie pojawiły się dotychczas tak oczekiwane przez uczącą się młodzież podręczniki z dziedziny humanistycznych, matematyczno-przyrodniczych i lekarskich?

— Dlaczego? Z tych samych powodów, dla których nie mogliśmy wydać dalszych zeszytów „Encyklopedii polskiej”, dla których tak mało mogło się pojawić „Rozpraw”, czy „Prac” wydziałów czy komisji. Fundusze. Ciągłe fundusze. Dlatego tak bardzo cieszy nas dziś każda nowa publikacja.

— Czy mogę prosić o podanie najważniejszych przynajmniej pozycji wydawniczych Akademii?

— Właśnie pojawił się zeszyt kończący tom V „Polskiego Słownika Biograficznego”. Będziemy na razie drukować nie 5, jak przed wojną, ale przynajmniej 3 zeszyty rocznie.

— Ilu ma „Słownik” prenumeratorów?

— Dotychczas zgłosiło się około 450. Akademia liczy jednak na znacznie większą ilość. To fundamentalne wydawnictwo powinno dotrzeć do wszystkich pracowników naukowych i oświatowych, do szkół i bibliotek. Będziemy kontynuować wydawanie „Encyklopedii polskiej”, ukończymy druk „Bibliografii polskiej” Estreicherów, „Flory polskiej”, „Atlasu flory polskiej”, „Słownika łaciny średniowiecznej”, podejmiemy druk podręczników, z których niebawem ukaże się II tom „Historii literatury greckiej” prof. Sinki. Wznowimy wydawnictwa monograficzne. Komitet

wydawnictw śląskich ukończył druk I tomu pracy dr. Z. Durczewskiego pt. „Grupa górnośląsko-małopolska kultury łużyckiej w Polsce” i przygotował tom II tego wydawnictwa. Przed wojną Akademia dostawała sporo pieniędzy od województwa śląskiego, za co wydawała osobno wydawnictwa śląskie historyczne, etnograficzne, archeologiczne, językowe, a także przyrodnicze i gospodarcze. Dziś to źródło zupełnie odpadło. Województwo śląsko-dąbrowskie całą swą dotację naukową oddaje Instytutowi Śląskiemu, wskutek czego Akademia nie ma środków nawet na kontynuowanie rozpoczętych przedsięwzięć i wydawnictw. Nie występując bynajmniej przeciwko wartościowemu Instytutowi Śląskiemu, pozwolam sobie jednak wątpić, czy pod względem czysto naukowym potrafi on rzecz poprowadzić na tym samym poziomie. Środowisko naukowe wrocławskie zainicjowało (prof. Rospond) już dalsze szczegółowe badania dialektów śląskich Ziem Odzyskanych, ale do ścisłego porozumienia się z P. A. U., która przed wojną wydała już w tym zakresie pięć prac, jeszcze, niestety, nie doszło.

— Jako polonistę, który jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej patrzył na pracę prof. Jana Łosia nad „Słownikiem staropolskim”, żywo interesuje mnie los dalszy tej doniosłej naukowej roboty?

— Po śmierci prof. Łosia w 1928 przez lat kilkanaście pracami nad „Słownikiem staropolskim” kierował dr H. Oesterreicher. W czasie ostatniej wojny Niemcy wyrzucili brutalnie „Słownik” ze słownikarni bądź do piwnic, bądź do czytelnicy, udało się jednak wszystko zebrać, uporządkować i przemieścić do Biblioteki Jagiellońskiej, gdzie „Słownik” wojnę przetrwał. W r. 1942 dr Oesterreicher od dłuższego czasu obłożony chory, umarł. Od jesieni 1940 do jesieni 1944 zajmowałem się pracą nad „Słownikiem”, z pomocą mgr. W. Namyśłowskiej. Dzisiejszy stan „Słownika”, obejmującego około 200 000 uporządkowanych kartek, jest taki, że w razie zapewnienia środków materialnych można by nawet w ciągu najbliższego roku przystąpić do pisania artykułów o wyrazach. Kilkanaście artykułów o różnego typu wyrazach już sam napisałem. Ta praca mogłaby się naprzód ukazać jako podstawa dla dalszych, ujmowanych już według jednolitego wzoru przez większą ilość współpracowników. Dla porównania: „Ogólnoczeski słownik”, przygotowany przez Czeską Akademię, miał stale wojną i ma teraz ponad 30 stale zajętych kwalifikowanych pracowników — nasz natomiast „Słownik” (co prawda tylko staropolski) ma na razie zaledwie dwa etaty.

— U nas nie docenia się jeszcze praktycznych korzyści z badań naukowych.

— Dlatego wśród zarzutów, jakie się słyszy przeciw P. A. U., powtarza się, jakoby zajmowała się ona głównie tematami oderwanymi. Tak nie jest. W naszym katalogu wydawnictw są przecież i studia z dziedzin życia praktycznego, np. podręcznik hodowli trzody chlewnej, czy uprawy pszenicy. Akademia chce w wielu dziedzinach wiedzy zabierać głos. Jak powiedziałem już na ostatnim posiedzeniu publicznym, umiejętność to nie abstrakcyjna nauka, umiejętność — według słów Mickiewicza — „pragnie z teorii praktykę wyciągnąć”.

Akademia chce z intelektualnych badań wyciągnąć umiejętność życia. Czasem jednak życie nie chce słuchać porad nauki.

— Czytałem w ostatnim numerze „Języka Polskiego“, jak to komisja ustalania nazw miejscowych przywraca i ustala urzędowo nazwy miejscowości, ministrowie Administracji i Ziemi Odzyskanych wydają zarządzenia, że wolno używać nazw tylko „w brzmieniu ustalonym niniejszym zarządzeniem“, a tymczasem zamiast ustalonego Prudnika jest nadal Prądnik, zamiast Głubczyc Głubczyce.

— Jest to tym dziwniejsze, że członkami Komisji są lingwiści (K. Nitsch, M. Rudnicki i W. Taszycki), w posiedzeniach biorą też udział przedstawiciele instytutów regionalnych i Komisja bynajmniej nie jest nieprzejednana, czego dowodem, że np. zgodziła się na przywrócenie nazw Kudowa Zdrój i Karpacz, choć są one mniej trafne od początkowo proponowanych, ale przemawiały za nimi względy utylitarne.

— Pięknym zadaniem Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego będzie szerzenie poszanowania dla praw języka. Czy liczne są jednak zastępy miłośników?

— Działą Koło krakowskie, łódzkie, powstało nowe we Wrocławiu. Niestety organ Towarzystwa, „Język Polski“, ukazuje się zaledwie w 1 800 egzemplarzach.

— Maria Dąbrowska wyraziła się niedawno: „Przeczytanie „Języka Polskiego“ było jedną z moich największych przyjemności ostatniego półrocza“. Gdyby więc tylko sami literaci czytali „Język Polski“, już liczba egzemplarzy musiałaby być większa. A „Język“ powinien stać się przecież najbliższym doradcą nauczyciela. Gdy zważymy, że samych szkół powszechnych mamy 18 247, liczba odbiorców „Języka Polskiego“ powinna dorównywać co najmniej ilości prenumeratorów „Twórczości“ czy „Odrodzenia“.

— W tym roku rozpoczęliśmy 26 rok wydawnictwa. Oby pańskie przewidywania sprawdziły się w nowym okresie naszej pracy. Tymczasem wpływowo „Czytelnik“ bierze do rozsprzedaży zaledwie 200 numerów „Języka Polskiego“. Jak pan zapewne zauważył, w ostatnim numerze w dziale odpowiedzi redakcji rozmawiamy z uczniem liceum humanistycznego w Warszawie, który zwraca się do „Języka Polskiego“ jako jego „entuzjastyczny czytelnik“ zapytaniem w kwestii etymologicznej. To napawa otuchą. Powoli i starsze społeczeństwo ocknie się z koszmarów wojny i da wyraz swemu uznaniu dla walki, jaką Akademia na każdym polu pracy prowadzi dla dobra człowieka.

Przemówienie ministra Oświaty, Czesława Wycecha, na pierwszym po wojnie posiedzeniu publicznym P. A. U. i słowa Prezydenta Krajowej Rady Narodowej, Bolesława Bieruta, na tegorocznym pozwalają nam wierzyć, że pomoc i opieka Rządu Rzeczypospolitej będzie coraz wydatniejsza. A dzięki temu i służba P. A. U. dla dobra nauki, praca nad jej odbudową i rozwojem coraz większa.

Stefan Papée

W poprzednim 39 (96) numerze „Odrodzenia“ z dnia 29 września 1946 r.: K. I. Gałczyński: Kolczyki Izoldy. Małe oratorium. — K. W. Zawadzki: Stulecie trójcy powieściopisarzy. Bolesław Prus(2). — Konrad Winkler: Jeszcze o ludowym mecenacie sztuki. — Malarstwo polskie (Tadeusz Makowski). — Stanisław Mackiewicz (Cat): Tajne memortalia generała Sikorskiego. — Wilhelm Mach: Dwie książki o walczącej Warszawie. — Stanisław Helsztyński: Po zgonie H. G. Wellsa. — Kazimierz Wyka: Lekki, gesty, miejsca, czasy... — Jan Jacek Gintiel: Polki — amoklesa. — Bogusław Kuczyński: Notatki angielskie. — K. J. Szkoła krytyków: Nieużyta twórczość. — Stanisław Urbańczyk: Mieczysław Malecki. — str.: Kronika angielska. — tk: H. G. Wells. — mst: Jeszcze o Wellsie. — Js: Przyciąć pazury. Abrakadabra. — Konstanty Grzybowski: Luźne uwagi o jednym i tym samym. — Józef Sieradzki: Wśród ksiązek. — Krystyna Kulczowska: Pozytyczna antologia. — J. A. Szczepański: Książka Fiedlera. — Beck się nam przysłużył. — Stefania Łobaczewska: Przed nowym sezonem koncertowym. — Artur M. Swinarski: „Hamlet“ w teatrze opolskim. — Korespondencja (J. A. Szczepański, dr. M. Pollak). — Marian Promiński: Kronika filmowa. — 13 ilustracji. — 13 stron.

## JAN MEYSZTOWICZ

Rozpoczęcie w lipcu 1940 niemieckiej ofensywy lotniczej, rozumianej jako wstęp do właściwej inwazji wyspy, przyspieszyło tempo uzbrajania polskich oddziałów w Szkocji. Mizerne to było uzbrojenie. Skąpo broni maszynowej, zupełnie brak broni przeciwpancernej i artylerii, nie mówiąc o niezliczonych i dotkliwych brakach w sprzęcie i wyposażeniu wojskowym. W sytuacji jednak fatalnego niedostatku broni i wyszkolonego żołnierza, w jakiej znalazła się Wielka Brytania, Polacy przedstawiali czynnik obronny nie do pogardzenia. Szkocja była prawie ogołocona z nowoczesnych sił zbrojnych i umocnionych pozycji obronnych. Najlepsze pułki szkockie były na najbardziej zagrożonym odcinku, nad kanałem La Manche. Wyborowa 51 dywizja (Highland Division) została rozbita na kontynencie. W garnizonach powoływano i organizowano na gwałt zapasowe jednostki.

Z wyjątkiem ośrodków przemysłowych na południu, zachodzie i nielicznych obszarów urodzajnej ziemi w Perthshire i Fife, Szkocja jest krajem o niezwykle nierównej gęstości zaludnienia. Dalej na północ i wzdłuż wybrzeży wschodnich wielomilowe polaie kamiennych wzgórz, porośnięte chudą trawą i wrzosem. Okrążeń tu i ówdzie piękną dębina, na których pasy się tysiące owiec strzeżonych przez rozmiłowane w swym zawodzie psy owczarki, aż się proszą o desant z powietrza. Owce i barany stały się przedmiotem pierwszego szkocko-polskiego nieporozumienia.

Obozy nasze były najbardziej prymitywne. Dopiero po paru miesiącach zagospodarzyliśmy się jako tako. Namioty rozbiliśmy na trawie, a raczej jej wspomnieniach, na której spało się rozłożysty koce. Zimno było, a zwłaszcza mokro, okropnie. Klimat szkocki jest tak ponury i beznadziejny, że się doń przyzwyczaić można, skoro innego wyjścia nie ma, ale aby się z nim pogodzić, trzeba się urodzić w Szkocji. Jest jakby przeniknięty neurastenią i radości życia nie sprzyja. Przez okrągły rok pada z monotonnym uporem lodowaty deszcz. Nigdy nie jest naprawdę ciepło, a wysuszyć się można tylko przy ogniu, o który trudno jest w warunkach polowych. W lecie kalendarzowym ukazuje się co prawda z rzadka słońce i wtedy krajobraz nabiera przepysznych pastelowych barw i niezrównanej miękkości konturów, ale gdy nawet z rana najczystsze niebo je okoli, nie można być pewnym, czy za pół godziny nie lunie rześniste deszcz, przepędzony wkrótce kąśliwym wiatrem, smak morza pozostawiającym na ustach, który przed wieczorem przyniesie następny deszcz lub całą ich serię.

Do namiotów wzięto się zatem przemoczoną i zziębniętą tylko po to, aby wylazłszy z nich, taplać się w gęstym błocie. Błoto szkockie, aczkolwiek płytsze, mniej jest gościnne i zupełnie inne niż nasze rodzime. Nie ma tego piernikowatego koloru, nie niesie zapachu przyszłych urodzajów. Błoto szkockie jest czarne, obce, nieprzytulne. Nasi żołnierze, poprzez obozy internowanych, zielone granice więzienia i kwatery spod ciemnej gwiazdy, w niejednej wojennej tułaczce zaprawieni nauczyli się improwizować choćby cień komfortu. Pojęcie komfortu łączyło się ściśle z pojęciem poduszki. Z poszewkami kłopotu nie było. Miliony worków z piaskiem chroniły szkockie okna, oddrzwia i węgiel. Po wysypaniu z nich piasku poszewka była gotowa. Można ją było napchać trawą lub słomą. Ale dlaczego nie czymś miększym? Od czegoż barany?

Do polskiego dowódcy obozu zgłosiła się delegacja farmerów ze skargą, że Polacy maltretują ich barany. Od pewnego czasu barany, które zawędrowały w pobliże polskich namiotów, poczęły zdradzać symptomny dziwnej i nieznannej choroby. Na bokach, a zwłaszcza na brzuchach, miały coś w rodzaju liszaju, miejsc, z których wełna była tajemniczo wyskubana. A że w promieniu wielu mil nie było oprócz polskich aliantów nikogo, na kogo mogłoby

# Strzepy epopei

paść podejrzenie, dowódca zgodził się na przeprowadzenie dochodzeń na miejscu. Okazało się, że aby zdobyć wełnę na wypchanie zaimportowanych poduszek, żołnierze używali różnych nie nadających się do baraniego chowu narzędzi jak bagnety, noże, a nawet żyłki. Zdarzało się i bezpośrednie podsukbywanie mimo protestów zainteresowanych.

Prawdziwą plagą wśród zarządzeń przeciwinwazyjnych był sumiennie wykonany rozkaz o usunięciu lub zamalowaniu wszystkich drogowych znaków i napisów podających pośrednio lub bezpośrednio nazwy miejscowości. Jaką trudność sprawiłoby to wojskom lądującym jako nieprzyjacieli, doświadczaliśmy tego na własnej skórze. Wśród Niemców ilość żołnierzy znających język angielski byłaby niepomiarne większa niż wśród Polaków. Niemniej jednak musieliby oni, podobnie jak i my, poruszać się, zwłaszcza przy użyciu pojazdów mechanicznych, wyłącznie za pomocą bezbłędnie odczytywania mapy. Uniemożliwiałoby to używanie tak zwanego „polskiego Bezarda“, znanego dobrze wszystkim co w Polsce w wojsku służyli. (Bezard jest ulepszoną typem kompasu; polski Bezard polegał na włożeniu tegoż kompasu do kieszeni a postępowaniu się zmieniającym co kilkanaście kilometrów miejscowym przewodnikiem).

Pokonanie zasadniczych trudności językowych przez Polaków w Szkocji trwało kilka miesięcy. Poważniejsze nieporozumienia na tym tle wystąpiły dopiero, gdy ci, którzy nauczyli się z dwóch słów doszli do wniosku, że język angielski posiadał w stopniu dostatecznym dla popisania się nim przy łada okazji. Na pewnym zebraniu polsko-szkockim, gdy temperatura serdeczności podniosła się wysoko dzięki whisky, wygłoszono wiele toastów. Polski pułkownik, z gości najstarszy rangą, postanowił na nie odpowiedzieć w języku, jak mniemał, angielskim. Po dłuższej perorcie, której Szkoci słuchali z rosnącym zaciekawieniem, pułkownik uniesiony własną elokwencją nawązał do staropolskiej tradycji i zakończył swą mowę: „wypijmy do dna!“ Zwyczaj ten i apostrofa znane są również od wieków w Wielkiej Brytanii. Formułka używana w takim wypadku jest „bottoms up!“ (dna do góry!). Jednak w ferworze pułkownik zapomniął, że język angielski posiada aż zbyt wiele synonimów i przetłumaczył dosłownie z polskiego „Piję do dna“. Gdy zatem zawołał gromko: „Gentlemen, I drink to the bottom!“ zapanowała wesoła konsternacja. Opanowani Szkoci trzymali się za brzuchy, aby nie śmiać się zbyt głośno. Po angielsku bowiem słowa pułkownika znaczyły: „Panowie, piję do d...!“

Innym znów razem pewien chorąży, pobratymca sławnego przed wojną w Polsce chorążego Orzeszko, umawiał się na randkę ze Szkotką w budce telefonicznej, skąd jego słowa zostały podsłuchane przez mimowolnego świadka. Chorąży chciał się spotkać z wybranką o godzinie szóstej po południu, tegoż dnia. Zaglądnął do słownika pod „która godzina“ i wyczytał „What time“ (dosłownie: jaki czas); godzina zatem, wydedukował, mówi się „time“ (w rzeczywistości „hour“). „Darling — kwili chorąży siódmo do słuchawki — you and me (ty i ja) to night (dziś wieczór) six times“. Zamiast o szóstej godzinie, wyszło: sześć razy. Nie wiemy czy Szkotka przyszła na tak zapowiedziane spotkanie, ale być może miała powody wyrzucić chorążemu jego samochwalstwo.

Celem przysporzenia sił zbrojnych na wypadek inwazji, w lecie 1940 powołano do życia Ochotniczą Milicję Obywatelską, tak zw. Home Guard. Nie potrzeba była żadnego pod tym względem przymusu. Wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni a nie powołani do służby czynnej, od wyrosłków do wielokrotnych dziadków, zgłosili się do Home Guard z entuzjazmem. Byli to w większości kombatanci z pierwszej wojny światowej, którzy mawiali, że za ich czasów to była naprawdę wojna.

Członkom Home Guard wszystkie-

go brakło prócz zapału. Mundury mieli te same co wojsko, ale uzbrojenie — pozał się Boże. 1942 Home Guard był już na tyle wyćwiczony i uzbrojony, że stanowił poważną siłę bojową. Gdy w 1944 Wielka Brytania wysłała na inwazję kontynentu do Normandii co tylko miała gotowego wojska, obrona wyspy spozczyła wyłącznie na barkach Home Guard.

W 1940 uzbrojenie ich było improwizacją, nieraz komiczną. Ściany i strychy domów brytyjskich zostały ogołoczone z trofeów i pamiątek, sięgających czasów wojny krymskiej. Na przeglądzie batalionu Home Guard można się było uczyć poglądowo historii wojen ostatniego stulecia. Była tam i broń myśliwska, od sztucerów na grubego zwierza do małokalibrowych dubeltówek. Brakowało tylko oszczepów i halabard. Dowódcami byli emerytowani oficerowie zawodowi, uszczęśliwieni, że mogą się jeszcze na coś przydać, lubując się, przy szklance piwa, w opowiadaniach o powstaniu Bokserów w Chinach przy obłożeniu Mafeking, oraz miejscowi notable, którym nadano stopnie oficerskie.

Pomimo rażących braków w uzbrojeniu lub wyszkoleniu mieli oni jedną bezcenną zaletę. Zнали każdy kamień, każdy rów lub wyniosłość terenową powierzonych sobie odcinków.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby Niemcy byli wylądowali w Wielkiej Brytanii w 1940, Home Guard byłby oczywiście pobity, ale nie bez stawienia oporu, z którym Niemcy musieliby się w pewnej mierze liczyć. Hasłem dającym znać o inwazji miały być dzwony wszystkich kościołów Wielkiej Brytanii. W tym celu używanie dzwonów zostało zabronione aż do odwołania. Odewały się owe zamilkłe w 1940 dzwony dopiero 6 maja 1945 — w dniu poddania się Niemiec.

Polacy na bronionych przez siebie odcinkach mieli współdziałać intymnie z Home Guard; zresztą wojska regularnego było tak mało, że nie było z kim innym współdziałać. Najbliższymi zatem towarzyszami broni Polaków — gdyby zabrzmiały kościelne dzwony — byłoby ich bezpośredni gospodarze, właściciele domów, w którym stało dla tego współdziałania w deszczu szkockim, że Niemcy nie wylądowali.

Moja znajomość angielskiego była podówczas dosyć średnia, ale na językowym bezybriu uchodziłem za znakomitego lingwistę. Dowódca batalionu Home Guard, z którym mój batalion miałby bronić brzegów zatoki Forth of Tay i lotniska w Lucars, był emerytowanym pułkownikiem kawalerii, którego szczytem kariery był chwalebny udział w kampanii Kitchenera w Sudanie przeciwko rewolcie Arabów Mahdiego, znanej w Polsce z „W pustyni i w puszczy“. Zostałem do niego wysłany jako p. o. oficera łącznikowego, którego zadaniem byłaby liaison między obu batalionami.

Pułkownik, bardzo ruchliwy jeszcze staruszek, z cerą noszącą widoczne ślady wieloletniego pobytu w Indiach i związanej z tym intensywnej konsumpcji whisky, mieszkał we własnym cottage'u, obrosniętym dzikim winem i był tak wspaniale konwencjonalny w każdym słowie i geście, że gdyby go przenieść na scenę, uznano by go za charakter stanowczo przeszarżowany. Miałe zdawiony, że może się ze mną dogadać przedstawił mi swoje psy i czynił honory ogromnego hallu, którego ściany były obwieszane trofeami myśliwskimi, fotografiami i kolekcją broni arabskiej, hinduskiej i muryńskiej. W specjalnej gablotce stały nagrody sportowe za polo w Indiach, golfa w Egipcie i bilard trochę wszędzie. Przy kieliszku sherry staruszek się zupełnie udochruchał i dopytywał się o szczegóły życia w Polsce, gdzie, jak słyszał, kawa-

leria zajmuje nadal — i jakże słusznie — dodał z przekonaniem — należne jej miejsce. Podczas omawiania szczegółów kooperacji jego batalionu z naszym, pułkownik zaszepił się nagle głęboko i zapytał:

„Czy słyszał pan — u nas pisały o tym gazety — że Niemcy mają lądować z powietrza spadochroniarzy ubranych w inne niż własne mundury? Trudno wprost uwierzyć, aby jakkolwiek cywilizowany naród mógł się zdobyć na tego rodzaju oszustwo i łamanie praw wojny“.

„Owszem, słyszałem, miało to jakoby miejsce parokrotnie w Holandii. Sam widziałem w Norwegii żołnierzy niemieckich w mundurach norweskich. Co prawda tłumaczyli się, że są marynarzami, których okręty zostały zatopione, a oni sami dołączyli się do załogi Narviku i innych mundurów nie mieli“.

„Ładna historia! Niemcy zdobyli Bóg wie ile naszych magazynów we Francji i rozporządzają tysiącami mundurów brytyjskich. Takich samych jakie noszą teraz także Polacy. Tylko że wy macie czerwone naszywki z napisem „Poland“ na ramionach. Przypuszczam, że takie naszywki mogłoby sobie Niemcy kazać zrobić“.

Musiałem mu przyznać, że w hierarchii problemów stojących przed dowództwem niemieckim sfabrykowanie naszywek „Poland“ nie jest zbyt trudne do rozwiązania.

Pułkownik był coraz bardziej podniecony: „No dobrze, wobec tego o ile Niemcy zrzucą w Szkocji, powiedźmy na mój odcinek, spadochroniarzy w mundurach brytyjskich i z naszywkami „Poland“ na ramionach, jakże u diabła ja i moi ludzie mamy ich odróżnić od was, z którymi mamy wspólnie wrzucić Niemców do morza?“

Miałem już na tyle doświadczenia w wojskowej współpracy polsko-brytyjskiej na dostępnym mi szczeblu, iż nie miałem wątpliwości, że taka ewentualność pociągnęłaby za sobą niesamowity bałagan. Rozłożyłem ręce bezradnie.

„Trzeba by zaimportować natychmiast jakieś znaki rozpoznawcze i zameldować je panu pułkownikowi“ — zasugerowałem.

„Nieźła myśl, ale a propos, jak wy właściwie porozumiewacie się między sobą?“

„Po polsku, panie pułkowniku“.

„Aha — to znaczy, że rozumiecie także po niemiecku?“

„Owszem mamy wśród nas rozumiejących i mówiących po niemiecku, ale język polski i niemiecki są bardzo różne“.

„Polski czy niemiecki to dla mnie i dla moich ludzi taki sam nieludzki bełkot. Widzę tylko jedno wyjście, przynajmniej na początek. Z tymi waszymi naszywkami to nikt się w porę nie rozezna. W razie meldowania desantu niemieckich spadochroniarzy w mundurach innych niż niemieckie każę strzelać do wszystkich, którzy nie będą Brytyjczykami“.

Zadaniem moim, w razie alarmu inwazyjnego, byłoby natychmiastowe nawiązanie łączności z Home Guardem pułkownika. Moje naszywki „Poland“ miały poważne szanse nie uchronić mnie od pseudo-żołnierskiej śmierci z rąk szkockich i to, znając stan uzbrojenia Home Guardu w tym rejonie, prawdopodobnie kaczym śrutem.

Skoro w zimie 1940/41 minęło najgroźniejsze niebezpieczeństwo i można było nieco uporządkować przedinwazyjną improwizację, zorganizowano na małą skalę szereg ćwiczeń i manewrów dla Home Guardu z udziałem Polaków. Schemat ich był prawie zawsze identyczny. Home Guard bronił swoich osiedli. Polacy figurowali jako nieprzyjacieli. Ćwiczenia te miały jedną fatalną stronę. Odbywały się z reguły w niedzielę, jedynym wolnym dniem dla członków Home Guardu, którzy resztę dni tygodnia poświęcali normalnemu businessowi. Co prawda niedziela szkocka, kiedy życie zamiera i wszystko prócz kościołów (i to tylko rano) zamknięte jest na cztery spusty, jest tak nudna, że myśl nieodparcie biegnie ku grzeszynom manowcom, ale zawsze jest to lepsze niż tarzanie się w bło-

\*) Por. początek w nr 53 „Odrodzenia“.

BERZY LOVELL

## Pisane promieniem

W drzewach mieszka wiatr,  
wiatr ma miękkie dłonie,  
kochając wszystko co jest.

Wiatrowi łączą naprzeciw  
idzie  
o cichych stopach deszcz.

Spotkają się w twoim ogrodzie,  
kwitnie rezeda  
i mak.

— Usiądź pod wielkim niebem,  
oto twój dobry przyjaciel,  
twój przyjaciel świat.

## Erolyk

Przebacz dłońmiom, że szukają ciebie —  
ślepiec tak szuka oczu.  
Zgubiłaś na poduszce grzebienie,  
harle, którą czeszesz włosy.

Falują z ramion ku dłońmiom —  
tukiem ud rozchylonych muzyka.  
Mogę świat od stóp do głowy pojąć,  
kiedy oczy tobą zamykam.

cte w celu podniesienia taktycznego  
wyszkolenia miejscowego organi-  
sty.

Jedno z takich ćwiczeń w Porth-  
shire było zakrojone na większą ska-  
łę. Scottish Command (DOK Szko-  
cja) przysłało kilkunastu oficerów na  
rozjemców. Jedną z kompanii pol-  
skich, nacierająca na Alyth, miała  
do pokonania przez rzeczkę terenową  
w postaci małej rzeczki, około 6 me-  
trów szerokiej. Dowódca kompanii  
wiedział z mapy, w którym miejscu  
znajdował się mały drewniany mo-  
stek używany głównie do przepędza-  
nia baranów. Most główny na szosie  
był solidnie brzońiony przez Home  
Guard. Dobrnawszy na przełaj po  
różnych wertepach do owego drow-  
nianego mostu, dowódca polski nat-  
knął się na niemiłą niespodziankę.  
Na moście siedział jeden z brytyj-  
skich rozjemców z białą opaską na  
ramieniu i palii fajkę. Widząc zbli-  
żających się Polaków zwrócił się do  
nich: „Sorry, boys — most ten jest  
zniszczone przez lotnictwo nieprzy-  
jacielskie“. Aby nie było wątpliwo-  
ści wskazał palcem na niebo i wy-  
dał z siebie sugestywne bum! bum!

Polaki porucznik był raczej wście-  
kły. Rzeczka nie była głęboka i dno  
dało się łatwo wymacać. Było wody  
po pas, w najgorszym wypadku po  
piersi. Ale któż w lutym ma ochotę  
na zimną kąpiel? Założeniem roz-  
jemcy było, że Polacy nie mogą  
przejsć rzeczki zorientują się z ma-  
py, iż o dwie mile dalej rzeczka tworzy  
zakręt i że można będzie konty-  
nuować natarcie na Alyth bez jej  
forsowania. Ale się przeliczył. Do-  
wódca polski był młody i ambitny.  
My tym Szkotom pokażemy! Pierw-  
szy wlał do wody, a za nim ruszyła  
reszta kompanii wyczerpując polskie  
i francuskie słownictwo wojskowe  
i cywilne pod adresem rozjemcy.

Home Guard miał widocznie dobry  
wywiad i wiedział, że most jest zni-  
szczony. Nikomu nie przyszło do gło-  
wy, że Polacy pójda na wprost przez  
wodę. Zjawienie się Polaków wła-  
śnie od strony zniszczonego mostu  
tak zaskoczyło obrońców, że miaste-  
czko ich zostało w mig zdobyte, a Ho-  
me Guard in corpore wzięty do nie-  
woli. Odebrano im broń — wszystko  
jak na prawdziwej wojnie — broń  
złożono na przechowanie na pleba-  
ni, a jeńców policzono i ustawiono  
czwórkami na rynku. Ćwiczenie zo-  
stało zakończone druzgocącym zwy-  
cięstwem nacierających Polaków.  
Omówienie ćwiczeń przez rozjem-  
ców i wspólna defilada (jakżeby się  
bez tego mogło obejść) miała się od-  
być na skrzyżowaniu dróg za mia-  
steczkiem. Prowadząc swych jeńców,  
polska kompania skrótowała sobie dro-  
gę do miejsca zbiórki i znalazła się  
u tego samego mostku. Rozjemcy już  
nie było, ćwiczenie było zakończone.  
Ale Polacy byli nadal przemoczeni do  
nitki. Porykując radośnie „sorry,  
boys — most jest zniszczone“ prze-  
szli z powrotem przez wodę wraz  
z jeńcami. Opornych wepchnięto do

wody manu militari. Wszystko od-  
było się zgodnie z konwencjami ha-  
skimi i prawem wojennym narodów.  
Należy przyznać Szkotom, że ochło-  
nawszy z wrażeń nie mieli tego za  
złe Polakom i śmiali się razem z ni-  
mi.

Jednym z naszych udręczeń było  
przygotowywanie do obrony ciągną-  
cych się całymi milami plaż. Stawia-  
no na nich wielkie cementowe bloki  
przeciw czołgom i zapory z drutu  
kolczastego, wbijano drewniane słu-  
py celem utrudnienia lądowania  
z morza i z powietrza, kopano stano-  
wiska i rowy. To wszystko w prze-  
nikliwym wietrze i naturalnie w de-  
szczu. Polacy nie znali się na przy-  
pływach i odpływach morza, miej-  
scowi Szkoci również nie bardzo.  
Nie jeden płot z kolczastego drutu,  
pracowicie założony, zamieniony zo-  
stał przez fale, w jedną burzliwą  
noc, w kłębuszek, którego i Neptun  
nie potrafiłby rozplątać.

Pewnego dnia zapowiedziano in-  
spekcję brytyjskiego generała ze  
Scottish Command. Przygotowania  
do niej były długim utrapieniem. Na  
dzień przedtem, polski generał, któ-  
ry miał na swym odcinku gościć  
szkockiego kolegę, przybył na naj-  
bardziej reprezentacyjną plażę, aby  
osobiście sprawdzić, czy wszystko  
jest, jak jego zdaniem być powinno.  
Prawie nic nie było jak być powin-  
no i przed gniewem pańskim chyliły  
się kornie liczne oficerskie głowy.  
Było to zaraz po odpływie i piasek  
na plaży leżał idealnie wygładzony  
falą i tak lśniący, że nie umyłyby  
się doń żadne koszarowe podwórze.  
Ale na tym piasku morze pozostawi-  
ło swe ślady, liczne wodorosty, tro-  
che zwykłych śmieci, z rzadka zar-  
dzewiała puszkę od konserw. „Cóż  
to za b.... na tej plaży! Wyzbierać  
mi te śmiecie natychmiast do czysta!“  
Ano, wyzbieraliśmy. Plaża była  
czysta jak posadzka. Nazajutrz  
brytyjski generał, z dorodną polską świa-  
tą, obszedł plażę i wyraził uznanie  
polskim stanowiskom. Nie zwrócił  
jednak uwagi na to, co wywołało  
groźne zmarszczenie brwi i źle tłu-  
miony gniew jego szkockiego kole-  
gi. Plaża pokryta była, tak samo jak  
poprzedniego dnia, licznymi wodoros-  
tami, garstką zwykłych śmieci,  
wśród których błyszczała tu i ów-  
dzie zardzewiała puszkę od konserw.  
To wszystko przyniesione przez mor-  
rze przy następnym przypływie.  
Szkockie morze nie usłuchało rozka-  
zu polskiego generała.

Pewien kapral, filolog, eksnauczy-  
ciel łaciny, porównał naszego gene-  
rała z Kserksem, królem perskim,  
który kazał wychłostać nieposłuszne  
jego woli morze. Porównanie nie cie-  
szyło się uznaniem w sztabie. Któż  
jako żywo słyszał kiedykolwiek  
o Kserksesie?

Wśród licznych aspektów współ-  
życia polsko-szkockiego jest jeden,  
który skusiłby pióro Brantome'a  
a śp. Boy tłumaczyłby to ze smakiem.  
Zrodziła wojna, ale szczytowość kro-  
nikarską dała mu ludzka natura.  
Bieg wypadków zrzucił, że Polacy,  
przybyli do Szkocji pod znakiem

Marsa, Venus i Afrodyce służyli  
zamaszyście.

Nie minęło parę tygodni od „pol-  
skiej inwazji“, a już ich błyskotliwa  
technika, ambicja godna najbardziej  
wyczerpujących sportów, duńność  
w skuteczność starych jak świat ale  
po mistrzowsku stosowanych chwy-  
tów, isticie kawalerskie tempo, brak  
skrupułów i hojność uczuć, bez-  
względność metod i delikatność ma-  
nier, szczerłość pożądań i igrzstwo  
na wielką skalę, erotyzm intensywny  
ale zawsze nutką poezji trącający —  
ich niezrozumiałe dla Brytyjczyków,  
chroniczne i nieustanne zaintereso-  
wanie kobietami, poczyniły nie lada  
spustoszenia wśród Szkotek. Na ogół  
przystojni i zawsze pewni siebie, mę-  
scy i ciągle o tym przypominający,  
bezcelni i przylepni, Polacy swój  
niewątpliwy i pod każdą szerokością  
geograficzną wypróbowany urok no-  
sili nie jak okulary w futerałach, ale  
prowokacyjnie i buńczucznie jak  
pióropusz.

Szkotki, na ogół rzecz biorąc, nie  
są rasą piękną. Lecz raz obdarzo-  
ne urodą — zwłaszcza na zachodzie  
dzięki domieszcze krwi irlandzkiej  
i w tak zw. Highlands (dzika, górzys-  
ta i rzadko zaludniona północno-  
zachodnia część Szkocji), dzięki za-  
chowaniu czystości krwi celtyckiej —  
są niezwykle pociągające. Trzysta lat  
purytanizmu, surowy i ponury, zmyś-  
ły przytępiły klimat (gorliwość  
partnera jest tam zawsze zwycię-  
stwem ducha i imaginacji nad szcze-  
kającą zębami materią), przyzwyczaje-  
nie do ciężkiej pracy (dobrobyt  
Szkocji datuje się od lat stu niespeł-  
na, a pracowitość jest jedną z głów-  
nych cech szkockiego charakteru),  
miłość i małżeństwo rozumiane i in-  
terpretowane jako część stroju spo-  
łecznego — wytworzyły w kobiecie  
szkockiej całe skarby zahamowań,  
które, raz obudzone, wybuchają  
z wulkaniczną siłą. Bujni i krwisty  
temperament Szkotki rozkwitał więc  
wspaniale pod wprawą sarmacką  
ręką. Nie przyzwyczajona do hołdów,  
komplementów i stałe objawianego  
jej zainteresowania, znająca tylko  
prymitywne objawy miłości, Szkotka  
wdzięczna jest, i umie to okazać, za  
każdy uśmiech, pieszczotę, tendresse  
nawet konwencjonalną, za każde  
ciepłe słowo, choćby z najokropniej-  
szym wypowiedzianym akcentem.

Szkotki nie mają ani części inteli-  
gencji, rozmachu, charakteru, indy-  
widualności kobiety polskiej. Są od  
nich na ogół nieskończenie mniej  
wybitne. Ale Szkotka raz zdobyta  
nabiera cech bluszczu i rozwija się  
ślicznie, spokojnie i równomiernie.  
Szczęście jej, i z nią, jest jeżeli nie  
proste, to łatwe, Szkotka nie jest tak  
jak Polka potencjalnym dramatem,  
nie chce i nie lubi szukać potwier-  
dzenia tezy, którą Polka szermuje  
nieraz, że „miłość żąda ofiary“.

Polkę zdobywać trzeba ustawicz-  
nie i przy niej nam nieraz wypada  
być bluszczem. Ze Szkotką szczęście  
jest przystanią i wypoczynkiem.  
Z Polką — sceną, na którą rzadko  
zapada kurtyna. Trzyma ona mę-  
czyznę w ciągłym emocjonalnym  
napięciu i ruchu. Zalety, a zwłaszcza

cnoty Polek są tak okazałe, że stają  
się agresywne. Wady i słabości Szko-  
tek są miękkie, jakby w pastelowych  
kolorach utrzymane i łatwo jest  
zsynchronizować je z własnymi.

Być może, że szkockie praprababki  
wyczytały w księgach mądrości cel-  
tyckich druidów tę wielką prawdę  
i przekazały ją sekretnie: mężczyzna  
jest przede wszystkim próżny i le-  
niwy. Szkotki zastosowały tę praw-  
dę w stosunku do Polaków ku obu-  
stronnemu zadowoleniu.

Na tle chłodnego temperamentu  
szkockich mężczyzn, ich solidności  
i kontrolowanych odruchów, ich  
sentymentalnego skapstwa, Polacy  
byli prawdziwą rewelacją. Skapstwo  
tego rodzaju jest zresztą jedyne, jak-  
ie istnieje w szkockiej naturze. Le-  
genda o ich skapstwie material-  
nym — ulubiony i niewyczerpany  
temat szkockich kawałów — nie ma  
nic wspólnego z rzeczywistością.  
Szkotki umieją być hojni, a gościnni  
są nadzwyczajnie. Łączy się to skąd-  
inąd z ich wybitnym zmysłem do  
handlu i dorabiania się.

Toteż w polskich obozach i garni-  
zonach mnożyły się romanse, z któ-  
rych kilka tysięcy zakończyło się  
przed ołtarzem, w takim tempie, że  
trudno się dziwić Szkotom, zwłaszcza  
tym, co służyli w wojsku z dala od  
swych siedzib, że patrzyli ze względ-  
nym entuzjazmem na powodzenie  
Polaków u ich sweetheartów. Powo-  
dzenie to przybierało czasami takie  
rozmiary, że nasze władze czuły się  
w obowiązku jakoś interweniować.  
Rezultatem tego był, między innymi,  
rozkaz znany w oddziałach, do któ-  
rych został skierowany jako: rozkaz  
o chuciach.

Autorami byli lokalny kapelan  
i oficer oświatowy, którzy w dłuż-  
szym elaboracie ostrzegali przed nie-  
bezpieczeństwem nieopanowanych  
chuci i wzywali do wstrzemięźliwo-  
ści w tym, co, od czasu pojawienia  
się wojsk sprzymierzonych na kon-  
tynencie, nazywa się fraternizacją.  
Dla okraszenia swej prozy autorzy  
powoływali się, jako na wzór do na-  
śladowania, na znakomitego rycerza  
polskiego, obywatela Longinusa Pod-  
bipiętę. Rycerz ów — tak opiewał  
rozkaz — jak sobie wszyscy przypo-  
minacie, ślubował czystość, co mu zu-  
pełnie nie przeszkadzało w zachowa-  
niu pełnej sprawności bojowej i tyc-  
cnoś odwagi, poświęcenia i dyscypli-  
ny, jakim żołnierz polski hołdować  
powinien. Idźcie jego śladami!

Po odczytaniu tego rozkazu przed  
frontem jednej kompanii wystąpił  
z szeregow pewien starszy strzelec,  
warszawianin z krwi i kości i zapy-  
tał: „Znakiem tego, panie kapitanie,  
czyje trzy głowy trzeba przedtem  
uciąć, aby sobie móc...“

Bujna imaginacja polska przyczy-  
niała się mocno do podniesienia  
charme'u u naszych za granicą.  
W jej nadużywaniu była wyraźna,  
aczkolwiek podświadoma nuta no-  
stalgi za krajem. Szkotki nie mieli  
pojęcia o Polsce podobnie jak i my  
nie mieliśmy pojęcia o Wielkiej Bry-  
tanii. Po pokonaniu pierwszych trud-  
ności językowych musieliśmy odpo-  
wiedzieć na tysiące pytań nieraz bar-

dzo naiwnych, ale ze szczerego za-  
interesowania płynących. Obraz Pol-  
ski, jaki sobie Szkoci na tej podsta-  
wie stworzyli, nie zawsze był zgod-  
ny z rzeczywistością, ale utwierdzał  
ich w przekonaniu, że Polska staje  
się im coraz bliższą, aczkolwiek nie-  
zbyt zrzucimata.

Blagowali nasi z wdziękiem i pa-  
sją, ale bez złej woli czy intencji;  
jak Tartarin de Tarascon łatwo im  
było uwierzyć w prawdziwość obra-  
zu czy faktu, który wyzarowywa-  
li — i to za pomocą kilkuset słów  
tylko — przed oczyma szkockiej in-  
terlokutorki.

I tak wojskowy, który był w cy-  
wilu podreferendarzem w starostwie  
grodzkim Warszawa—Praga, stawał  
się wysokim dygnitarzem państwo-  
wym, laborant — właścicielem apte-  
ki, urzędnik działu ogłoszeń w Ika-  
cuniu — znakomitym redaktorem  
i publicystą, student II roku medycy-  
ny — gwiazdą polskiej chirurgii,  
pomocnik kancelaryjny — wysokim  
urzędnikiem, pracownik bankowy —  
dyrektorem, posiadacz dwóch pokoi  
z kuchnią w spółdzielni mieszkani-  
owej na Żoliborzu — właścicielem  
licznych nieruchomości, właściciel  
kilkudziesięciu morgów — ziemiani-  
nem (landlordem), właściciel (w dru-  
gim pokoleniu) majątku, na który  
już dobrze przed wojną położył swą  
ciężką ręką Bank Gospodarstwa Kra-  
jowego czy Rolny lub Wileński Bank  
Ziemski — potomkiem historycznego,  
arystokratycznego rodu, o lic-  
nych włościach, średniowiecznym  
zamku pełnym precjozów, polach,  
po których uganiał się na słwym  
arabie otoczony sforą gończych,  
a z ius primae noctis zrezygnował  
był też niedawno, aby dostosować  
się do demokratycznego ducha cza-  
sów.

Pewien podporucznik rezerwy miał  
w Krakowie handel dodatków. Ku-  
pić można było u niego guziki, pat-  
ki, sprzączki, emblematy pułkowe  
i t. d. Dobrze mu się powodziło. Zapy-  
tany, czym był w cywilu, odpowie-  
dział, że zajmował się dostawami dla  
wojska. Nie bardzo nawet rozminął  
się z prawdą, bowiem jego klienci  
byli to głównie wojskowi. Ale w u-  
mysłach brytyjskich dostawy dla  
wojska to armaty, czołgi, samochody,  
pancerniki, produkcja wielkich fa-  
bryk, których właściciel musi być  
przemysłowym milionerem. Nasz  
podporucznik uchodził zatem za  
ofiarnego i patriotycznego miliona-  
ra, który służy teraz ojczyźnie w mi-  
zycznej randze podporucznika. Do-  
skonałe czuł się w tej roli. Inny zno-  
wu, zawodowy porucznik kawalerii,  
który nigdy nosa nie wychylił z Głę-  
bokiego czy Starogardu i miał dwa  
własne konie w stajni pułkowej kar-  
mione, opowiadał, że miał własną  
stajnię wyścigową. Faktem było, że  
wygrał był kiedyś 400 złotych na  
wyścigach w Nowogrodku. Ale w  
Anglii, aby posiadać stajnię wy-  
ścigową, trzeba być bardzo bogatym.  
Uchodził zatem za polskiego arysto-  
krate-koniarza i też doskonale czuł  
się w tej roli.

Snobizm polski hulał i dziwne wy-  
czyniał swawole, zwłaszcza na od-  
cinku ziemiańskim. Zdumiewające,  
co było ziemian, dużych i wielkich,  
w naszym wojsku w Szkocji. Była  
ich garstka oczywiście, mniej lub  
więcej autentycznych, ale gdyby  
każdy posiadał tyle ziemi, co sobie  
wyobrażał, granice nasze sięgałyby  
od Nysy po granice 1772 roku. Nie  
brakowało naturalnie i hrabiów, tu  
i ówdzie bliżej nie określonym baro-  
nem omaszczonych. Było ich nieco  
autentycznych, ale większość nomi-  
nalnych. Jak się nieszczęsny Szkot  
czy Anglik mógł w tym rozemnać?  
W Londynie było prawie tyłu fal-  
szywych hrabiów co fałszywych  
chłopów.

To wszystko było objawem pew-  
nych ułomności polskiego charakte-  
ru, który był i jest taki sam w Wiel-  
kiej Brytanii, czy gdzie indziej, co  
w kraju. Handel sygnetami kwitnie  
w Polsce i dzisiaj.

Wysoki snobizm, infantylnizm  
w ocenie wypadków, ludzi i zja-  
wisk, nieco dziecinne lubowanie się  
w dźwięcznych słowach i zewnętrz-  
nych pozorach, trudności w odróż-  
nieniu rzeczy istotnych od drugo-  
rzędnych — widzieliśmy to i tam  
i tu. Z tych, co się znaleźli za grani-  
cą w 1939, bardzo wielu znalazło się  
tam przypadkowo. Nie była to emi-  
gracja w dosłownym tego słowa  
znaczeniu. Było to wycinek politycznej  
i społecznej rzeczywistości Polski  
przedwojennej. Jan Meysztowicz



Aldona Zdanowska

Z gdyńskiego brzegu

STANISŁAW MACKIEWICZ (CAT)

# Prowokacje obce i doktryny fałszywe\*)

## Prasa polska na emigracji

Rząd generała Sikorskiego, w pierwszych tygodniach swej działalności w Anglii, prowadził czynną kampanię wewnętrzną, na dwóch frontach. Front pierwszy, to osadzenie szeregu oficerów-piłsudczyków, wśród których ludzi takich, jak były premier Rzeczypospolitej, Marian Zyndram Kościakowski, na wyspie Węzów, koło Glasgowa, i pilnowanie ich tam przez aparaty delatorską i prowokacyjną. Drugi front, to walka z kilku młodzieńcami i jednym byłym wikarym, wydającymi pismo „Jestem Polakiem”. Było to pismo dość prymitywne, które zrobiło karierę niesłychaną. Prasa angielska, amerykańska, całego świata, cytowała te dwa wyrazy: „Jestem Polakiem”. Jak się to stało? — Oto ukazał się pierwszy numer „Jestem Polakiem” i — o zgrozo! — nie było tam wcale wymienione nazwisko generała Sikorskiego. Ukazał się numer drugi i został oskarżony o antysemityzm: Cóż dało powód do posadzenia tego pisma o występki tak przeciwnej naturze ludzkiej? — Notatka mniej więcej następującej treści: „na objazd obozów wojskowych wyruszyli pp. Słonimski, Szapiro i Littauer”. W odpowiedzi na zbrodnicze intencje, które wyczuło w tej informacji, zarzucono prasę angielską artykułami o „Jestem Polakiem” szukając w ten sposób sprzymierzenia przeciwko „Jestem Polakiem” wśród opinii angielskiej, czyniąc to być może z przesadnym temperamentem i krzykliwością. Pan Jerzy Szapiro, występując w charakterze dziennikarza socjalistycznego zamieścił w „Daily Herald” artykuł o „Jestem Polakiem”, zarzucając mu hitleryzm i faszyzm. Anglicy przyzwyczajeni do wierzenia informacjom udzielanym przez sojuszników, nie mogli wyjść ze zdziwienia, skąd wśród Polaków znaleźli się hitlerowcy, a skoro już tacy są, to dlaczego przyprowadzili do Londynu. Generał Sikorski osobiście konfiskował numery „Jestem Polakiem”, wyrzucając je z rąk roznosieli. Rząd polski zaczął wszelkimi środkami wpływać na wydawcę „Jestem Polakiem” ks. Stanisława Belcha, aby zaprzestął druku niebezpiecznego wydawnictwa. Grożono mu dygnitarzami kościelnymi, omal nie ekskomuniką, aresztowaniem, deportacją, wzywano do pomocy policji angielskiej, która zresztą wzięła pomoc swą odmówiła. Ale ten wikary z jakiegoś małopolskiego miasteczka nie przestraszył się, przeciwnie zbuntował się na całego, oświadczył, że nie zło nie robił, że Hitlera nienawidził jak diabła, że broni tylko Polski i katolicyzmu, a swoich przekonania nie zawierza się wstydzici, czy zapierać.

Rząd w owym czasie wydawał już w Londynie „Dziennik Polski”, którego redaktorem był p. Marceł Karczewski, oraz subsydiował „Wiadomości Polskie”. Otóż „Jestem Polakiem” atakowało „Wiadomości Polskie”, które wtedy, w r. 1940, nie były pismem sympatycznym.

Wróćmy jednak do roku 1940, w którym „Wiadomości” jeszcze wcale opozycyjne nie były, przeciwnie, były rządowe, kontaktujące się z p. Kotem, subsydiowane, a w „Dzienniku Polskim”, p. Karol Estreicher pisał, że tak jak Mackiewicz był wieszczem dawnej emigracji, tak Słonimski jest wieszczem emigracji nowej. Jesteśmy wciąż jeszcze w okresie trąg-humorystycznej walki z „Jestem Polakiem”. W dniu 22 listopada 1940 r. rząd wydaje komunikat następujący:

„Rząd uznał, że ze względu na jedność narodową w obecnej dobie wojennej wychodzić powinno na obczyźnie tylko jedno pismo polityczne, mianowicie „Dziennik Polski”.

Stronictwa wchodzące w zespół jedności narodowej podzieliły ten pogląd.

W wykonaniu tego rząd polski zwrócił się do poszczególnych wydawców o zaniechanie dalszego wydawania pism.

Nie zastosowało się do tego wydawnictwo „Jestem Polakiem”, nie związane z żadnym stronnictwem wchodzącym w zespół jedności narodowej.

Postępek ten rzeczonożego wydawnictwa jest szkodliwym i potępienia godnym objawem złamania dyscypliny narodowej“.

Widziałem w tym komunikacie naruszenie wolności słowa, uważałem, że leży na mnie obowiązek protestu i napisałem list otwarty do premiera, który tu, z małymi skrótami, zamieszczam:

„Komunikat powyższy da się podzielić na dwie części: pierwsza głosi zasadę ogólną, proklamuje monopol „Dziennika Polskiego” jako prasy politycznej na obczyźnie, a część druga dotyczy zastosowania tej zasady do pisma „Jestem Polakiem”.

Nie mam zamiaru zabierać głosu w sprawie „Jestem Polakiem”. Nie należałem nigdy i nie należę do stronnictwa narodowego, a więc pozostawiam zwolennikom tego kierunku politycznego obronę tej placówki.

Toteż zajmując się wyłącznie pierwszą częścią powyższego komunikatu pozwolę sobie wypowiedzieć kilka uwag o raczej prawniczym charakterze:

1) Komunikat powyższy nie stanowi żadnego nowego prawa, które by obowiązywało każdego lojalnego Polaka na obczyźnie. Prawa bowiem obowiązujące obywateli ukazują się u nas w formie dekretów, inicjowanych przez rząd, opiniowanych ewentualnie przez Radę Narodową, sankcjonowanych podpisem pana prezydenta Rzeczypospolitej. Komunikat powyższy jest wyłącznie posunięciem politycznym, co zresztą uwiarygodnione zostało jak najbardziej, przez podkreślenie, że został wydany w porozumieniu ze stronnictwami wchodzącymi w skład rządu „jedności narodowej”. W myśl życzeń tego komunikatu, który powiada o pismach politycznych na obczyźnie, winny się zaraz zlikwidować liczne polityczne organa prasowe w Stanach Zjednoczonych, bo Ameryka Północna jest oczywiście dla nas, Polaków „obczyzną”, a nie ojczyzną. Wątpię jednak czy się zastosują do tego życzenia.

2) Komunikat, który nie jest dekretem, a tylko apelem do solidarności narodowej, tym bardziej powinien być podpisany, ponieważ dopiero podpisy nadadzą mu odpowiedni autorytet. Tymczasem brak tu jest podpisów zarówno członków rządu jak i tych polityków, którzy, imieniem stronnictw wchodzących w skład rządu jedności narodowej, zgłosili akces do tego aktu, wśród których to stronnictw znajduje się Polska Partia Socjalistyczna, która dotychczas swobodę prasy uważała za jeden z kanonów swojej ideologii.

3) Stronnictwa polityczne wchodzące w skład rządu jedności narodowej nie reprezentują ani wszystkich stronnictw czy też kierunków politycznych, które istniały w Polsce względnie istnieją w uciemnionej Polsce, a tym bardziej nie reprezentują całości prasy polskiej. Były w Polsce stronnictwa nader liczne, jak stronnictwo ludowe, które nie miały wcale swolch codziennych politycznych organów prasowych, a natomiast były bardzo poczytne organy prasowe nie należące do żadnego w ogóle stronnictwa, a tym nie mniej ujawniające polską myśl polityczną, w sposób zasługujący na szacunek. Toteż stronnictwa wchodzące w skład rządu jedności narodowej nie mogą reprezentować całości prasy polskiej.

4) Muszę także powołać się na argument, że zmonopolizowanie prasy stanowi reformę o totalistycznym charakterze, przy tym nawet w ustrojach totalistycznych uważane jest raczej za koniec dzieła niż za jego początek. Dopiero w państwie ostatniego — że się tak wyrażę — stadium totalizmu, rząd staje się jedynym wydawcą całej prasy politycznej.

5) Spodziewam się tu odpowiedzi, że tak jest w państwach żyjących w warunkach normalnych, a że my — żyjemy na emigracji. Otóż właśnie warunki emigracyjne stanowią bodajże najsilniejszy argument przeciw monopolowi prasy. Jeśli bądziemy mieć na emigracji jedne jedyne pismo, to za każde słowo wypowiedziane w tym piśmie będzie rząd dźwigać odpowiedzialność. Każdy rozumie jak delikatna i drażliwa jest sytuacja rządu na emigracji. Właśnie warunki wojenne, emigracyjne powinny tu działać w odwrotnym raczej kierunku, aby miały być nie tylko prasy rządowej, a była tylko prasa od rządu niezależna, na której glosy, wyrażające potrzeby polskie, mógłby rząd powoływać się wobec sojuszników.

6) Wszelkie narody, które były zmuszone przenieść swe życie polityczne na emigrację, korzystały z tego czasu, aby pogłębić swą ideologię polityczną. Warsztatami myśli politycznej są zawsze gazety. Znamy rządy koalicyjne, nie znamy koalicyjnych organów prasowych. Komunikat omawiany chce zubożyć naszą myśl polityczną do jednego niedużego dziennika. Zdawałoby się, że w interesie nie tylko narodu polskiego, ale i obecnego rządu, leży, aby ta myśl była pogłębianą, a nie krępowaną ramami oficjalnych wypowiedzi, którym jedynie może służyć pismo oficjalnie przez rząd popierane“.

Jednak redaktor naczelny „Jestem Polakiem”, 25-letni p. Jerzy Pańciewicz, zmuszony jest do wycofania się z tego pisma przez ówczesne londyńskie kierownictwo stronnictwa narodowego, w którym głos decydujący mają osoby, później z tego stronnictwa wydalone, jak pp. Seyda, Winiarski et consortes. Pan Pańciewicz odegra jeszcze kilkakrotnie dużą rolę polityczną na emigracji. Zawsze kiedy go obserwowałem, przychodził mi na myśl taki braciśzek z potężnego w XVII wieku zakonu, który oznaki zewnętrzne dyscypliny żelaznej i czci dla przeora i prowincjała, łączy z poczuciem odpowiedzialności za całość zakonu i właściwie kręci czasami swoimi przełożonymi, jak to uważa za stosowne. W ogóle o stronnictwie narodowym da się powiedzieć to samo, co o Polsce całej. Na dole jest patriotyzm, zapał i ofiarność, — to, co Niemcy nazywają „Unterleitung”, to jest podkierownictwo jest pełne energii, inicjatywy, śmiałości i ochoty pracy i walki: — kierownictwo sztabowe zawodzi zupełnie. Największym komplementem, jaki można powiedzieć p. Bieleckiemu, prezesowi stronnictwa narodowego jest ten, że pod jego nieobecność kierownictwo stronnictwa narodowego zupełnie nie dawało sobie rady. W 1940 r. Bieleckiego w Londynie nie było — „Jestem Polakiem” wydawane przez młodych członków tego stronnictwa jest być może prymitywne, czy nawet, lecz po omacku idzie w całkowicie słusznym kierunku, mianowicie braku zaufania do rządu generała Sikorskiego i jego politycznych zamierzeń. Kierownictwo londyńskie stronnictwa narodowego wydaje gen. Sikorskiemu to pismo dla wywarcia na nim zemsty, a natomiast stara się uzyskać od rządu subsydium dla pisma, które będzie się nazywało „Myśl Polska”. Dopiero p. Bielecki, przyjechawszy z Francji w 1941 r., zerwał z wszelkimi umizgami do gen. Sikorskiego, z miejsca w ciągu 24 godzin zawrócił kurs stronnictwa, wykazując w ten sposób rzetelny zmysł polityczny i słusze rozczucie polskiej racji stanu.

Nie znaczy to, abym poza p. Bieleckim nie widział w stronnictwie narodowym innych utalentowanych kierowników. Niewątpliwie wybitnym politykiem był p. Aleksander Demidecki Demidowicz i wielu innych...

Redaktorem subsydiowanej „Myśli Polskiej” został zresztą od początku p. Rojek, wysunięty przez grupę młodych, człowiek uczciwy,

okresy i od nich nazywać: Dynastia, Zakon, Łoza. Wychodzę z założenia, że ostatnie słowo, decyzję w sprawach kierunku naszej polityki zagranicznej, w okresie panowania domu Gedymina, miała u nas dynastia: w okresie środkowym — jezuita, za czasów stanisławowskich — masoneria.

Jakaż siła polityczna decydowała o kierunku polityki zagranicznej naszego rządu w czasie jego pobytu w Londynie, jakaż siła polityczna zdecydowała o zawarciu przez Polskę paktu lipcowego z Rosją?

Odpowiedź może być tylko jedna: — Anglia.

Pan Kot, wyjeżdżając do Moskwy, zatrzyma charakter ministra i członka gabinetu, a ministrem spraw wewnętrznych na jego miejsce zostanie p. Mikołajczyk, który jednocześnie staje się wicepremierem, Ministrem sprawiedliwości mianowany jest p. Herman Lieberman, długoletni poseł z galicyjskiej PPSD do parlamentu austriackiego, później stał się posełem na Sejm w Warszawie, wiceprzewodniczącym Rady Narodowej na emigracji, który na jednym z posiedzeń tej Rady, przewodnicząc jej obradom, oświadczył: „Nie ma konstytucji”, „Jest prezydent, jest rząd, ale konstytucji nie ma”. Musiałem oczywiście protestować z tego powodu. — „To może być takie pańskie zdanie — odpowiedział mi Lieberman z prezydenckiego miejsca — ale nie może pan protestować”. — „Właśnie nie chodzi tu o wyrażanie zdania, lecz o protest — bo wszyscy jesteśmy wzywani na podstawie konstytucji i nie wolno panu z miejsca przewodniczącego twierdzić, że jej nie ma” — odpowiedziałem. Nawet kolega partyjny p. Liebermana, p. Ciołkosz, musiał dnia następnego sprostować jego wybrzydzenie i oświadczyć w imieniu PPS, że konstytucja jest i obowiązuje, chociaż w czasie przemówienia p. Liebermana nikt nie poparł mego protestu. Oddanie pieczęci stróża praw w ręce człowieka, który wolał: „nie ma konstytucji”, było w najwyższym stopniu niesmaczne.

Innymi, jednocześnie mianowanymi, ministrami byli: p. Karol Popiel ze stronnictwa pracy i później, dnia 21 stycznia 1942 pp. Marian Seyda i Wacław Komarnicki, jako przedstawiciele narodowców, chociaż stronnictwo narodowe wydało ich ze swoich szeregów. „Myśl Polska” nie bez słuszności nazwała ich „oszustami”, ale drut kontaktów z krajem znajdował się wciąż w rękach ludowców i stąd nie można było się dowiedzieć, jakie stanowisko w tej sprawie zajmuje stronnictwo narodowe w kraju.

Wracając do p. Liebermana trzeba zaznaczyć, że w PPSD galicyjskiej zajmował on stanowisko raczej niechętnie hasłom niepodległościowym, choć później, przez pewien czas był w legionach. Jego współpraca z Kotem i Sikorskim datowała się jeszcze od czasów tamtej wojny. Piłsudskiego nienawdził z całej duszy, więcej od Hitlera i wyrażał tę swoją nienawiść w sposób ordynarny. Gdy część członków Rady Narodowej poszła na nabożeństwo żałobne za Piłsudskiego, postawił on wniosek, aby członków Rady nieusprawiedliwiających swojej nieobecności karać grzywną 25 funtów, czyli utratą więcej niż jednej trzeciej poborów miesięcznych. Jako motywacja tego wniosku zamieszczono było krótkie zdanie, że skutkiem nieobecności pewnej ilości członków Rady, posiedzenia jej nie mogły dojść do skutku 19 marca 1941 i 12 maja 1941. Poza tym Lieberman był mówcą wspaniałym, jednym z najlepszych mówców, jakich słyszałem w Polsce, do których zaliczam Szembekę, Daszyńskiego, Liebermana i Stronńskiego. Lieberman był mówcą patetycznym, głos jego to nabrzmiewał tonami ciepłymi, delikatnymi, rzewnymi, pełnymi humanitaryzmu i współczucia do cierpienia, to przechodził do tonów twardszych, dumnych, o prawdziwej wzniesłości, nigdy jednak nie używał szlachetnej

Mądra polityka angielska sprawiła, że narody europejskie były się za interesy angielskie. Wśród tych narodów najofiarniej, najmniej szczeniące siebie, samobójczo, bił się naród polski. Polityka człowieka, który nie umiał przestać być zbuntowanym niewolnikiem, polityka wściekłego psa, sprawiła, że narody europejskie były się z Niemcami z nienawiścią i egzaltacją.

Książka niniejsza przerwała mi pracę nad usystematyzowaniem dzieł mej Ojczyzny, według sił politycznych, które decydowały o kierunku jej polityki zagranicznej. Książka ta będzie się dzielić na trzy

Chciałbym teraz przejść do ważnego, choć tragicznie spóźnionego wydarzenia, tj. do ukazania się książki Adama Doboszyńskiego pt. „Wielki naród” o możliwościach złączenia się narodu polskiego z innymi narodami w jedną całość. Propagowałem od 1922 w Polsce tezę, że skutkiem odzyskania własnego państwa winna być zmiana charakteru nacjonalizmu polskiego. Za czasów zaborów miał on z natury rzeczy charakter defensywny, broniliśmy polskości, nie mogliśmy jej zasięgu powiększać. Teraz natomiast, gdyśmy odzyskali własne państwo, powinniśmy w nim rzadzić tak, aby było one potrzebne i Ukraincom i Białorusinom, a tylko w ten sposób możemy uzyskać asymilację wpaier państwową, a potem, być może, nawet narodową, naszych słowiańskich mniejszości narodowych.

Obóz narodowy w Polsce był bardzo daleki od tego sposobu rozumowania i stawał zawsze znak równania pomiędzy mniejszością nietytariałną, której słusznie asymilować nie chciał a mniejszościami terytorialnymi, jak o tym pisze w swej „Historii” w rozdziale pt. „Największy błąd stronnictwa narodowego”.

Książka Doboszyńskiego nie miała związku ani z moją propagandą, ani z moją argumentacją, lecz ucieszyłem się z niej gorąco. Nareszcie odezwał się głos z łona obozu narodowego, reprezentujący rewizję dotychczasowych pod tym względem pojęć. Pomiedzy poglądem Seydy, nie życzącym sobie Ukrainców w Radzie Narodowej, a poglądem Doboszyńskiego była różnica ogromna i zasadnicza.

Mądra polityka angielska sprawiła, że narody europejskie były się za interesy angielskie. Wśród tych narodów najofiarniej, najmniej szczeniące siebie, samobójczo, bił się naród polski. Polityka człowieka, który nie umiał przestać być zbuntowanym niewolnikiem, polityka wściekłego psa, sprawiła, że narody europejskie były się z Niemcami z nienawiścią i egzaltacją.

Książka niniejsza przerwała mi pracę nad usystematyzowaniem dzieł mej Ojczyzny, według sił politycznych, które decydowały o kierunku jej polityki zagranicznej. Książka ta będzie się dzielić na trzy

Redaktorem subsydiowanej „Myśli Polskiej” został zresztą od początku p. Rojek, wysunięty przez grupę młodych, człowiek uczciwy,

okresy i od nich nazywać: Dynastia, Zakon, Łoza. Wychodzę z założenia, że ostatnie słowo, decyzję w sprawach kierunku naszej polityki zagranicznej, w okresie panowania domu Gedymina, miała u nas dynastia: w okresie środkowym — jezuita, za czasów stanisławowskich — masoneria.

Jakaż siła polityczna decydowała o kierunku polityki zagranicznej naszego rządu w czasie jego pobytu w Londynie, jakaż siła polityczna zdecydowała o zawarciu przez Polskę paktu lipcowego z Rosją?

Odpowiedź może być tylko jedna: — Anglia.

Pan Kot, wyjeżdżając do Moskwy, zatrzyma charakter ministra i członka gabinetu, a ministrem spraw wewnętrznych na jego miejsce zostanie p. Mikołajczyk, który jednocześnie staje się wicepremierem, Ministrem sprawiedliwości mianowany jest p. Herman Lieberman, długoletni poseł z galicyjskiej PPSD do parlamentu austriackiego, później stał się posełem na Sejm w Warszawie, wiceprzewodniczącym Rady Narodowej na emigracji, który na jednym z posiedzeń tej Rady, przewodnicząc jej obradom, oświadczył: „Nie ma konstytucji”, „Jest prezydent, jest rząd, ale konstytucji nie ma”. Musiałem oczywiście protestować z tego powodu. — „To może być takie pańskie zdanie — odpowiedział mi Lieberman z prezydenckiego miejsca — ale nie może pan protestować”. — „Właśnie nie chodzi tu o wyrażanie zdania, lecz o protest — bo wszyscy jesteśmy wzywani na podstawie konstytucji i nie wolno panu z miejsca przewodniczącego twierdzić, że jej nie ma” — odpowiedziałem. Nawet kolega partyjny p. Liebermana, p. Ciołkosz, musiał dnia następnego sprostować jego wybrzydzenie i oświadczyć w imieniu PPS, że konstytucja jest i obowiązuje, chociaż w czasie przemówienia p. Liebermana nikt nie poparł mego protestu. Oddanie pieczęci stróża praw w ręce człowieka, który wolał: „nie ma konstytucji”, było w najwyższym stopniu niesmaczne.

Innymi, jednocześnie mianowanymi, ministrami byli: p. Karol Popiel ze stronnictwa pracy i później, dnia 21 stycznia 1942 pp. Marian Seyda i Wacław Komarnicki, jako przedstawiciele narodowców, chociaż stronnictwo narodowe wydało ich ze swoich szeregów. „Myśl Polska” nie bez słuszności nazwała ich „oszustami”, ale drut kontaktów z krajem znajdował się wciąż w rękach ludowców i stąd nie można było się dowiedzieć, jakie stanowisko w tej sprawie zajmuje stronnictwo narodowe w kraju.

Wracając do p. Liebermana trzeba zaznaczyć, że w PPSD galicyjskiej zajmował on stanowisko raczej niechętnie hasłom niepodległościowym, choć później, przez pewien czas był w legionach. Jego współpraca z Kotem i Sikorskim datowała się jeszcze od czasów tamtej wojny. Piłsudskiego nienawdził z całej duszy, więcej od Hitlera i wyrażał tę swoją nienawiść w sposób ordynarny. Gdy część członków Rady Narodowej poszła na nabożeństwo żałobne za Piłsudskiego, postawił on wniosek, aby członków Rady nieusprawiedliwiających swojej nieobecności karać grzywną 25 funtów, czyli utratą więcej niż jednej trzeciej poborów miesięcznych. Jako motywacja tego wniosku zamieszczono było krótkie zdanie, że skutkiem nieobecności pewnej ilości członków Rady, posiedzenia jej nie mogły dojść do skutku 19 marca 1941 i 12 maja 1941. Poza tym Lieberman był mówcą wspaniałym, jednym z najlepszych mówców, jakich słyszałem w Polsce, do których zaliczam Szembekę, Daszyńskiego, Liebermana i Stronńskiego. Lieberman był mówcą patetycznym, głos jego to nabrzmiewał tonami ciepłymi, delikatnymi, rzewnymi, pełnymi humanitaryzmu i współczucia do cierpienia, to przechodził do tonów twardszych, dumnych, o prawdziwej wzniesłości, nigdy jednak nie używał szlachetnej

\*) Por. „Sojusz z Anglią był sojuszem egzotycznym” w nr 93, „Powstanie rządu na emigracji” w nr 94, „Zajmujemy się proszkami od bólu głowy” w nr 95 i „Tajne memoriaty generała Sikorskiego” w nr 96 „Odrodzenia”.

groźby jak Daszyński, ani pogardliwej ironii jak Szebeko, ani dowcipu wypowiedzianego zniechęca, jak Stroński. Nawet jeszcze Radę Narodową raczył swoim kunsztem, choć dla rozwinięcia swej sztuki potrzebował szerszego audytorium, lepiej się czuł, gdy przemawiał do tysiąca, niż do kilkunastu osób. Mowy jego zwykle nie miały wiele wspólnego z tematem, który omawiał, ale wiele osób wzruszało, a stąd przekonywał. Pamiętam, jak a propos nie wiem już jakiej kwestii, opowiadał jak Mickiewicz rozmawiał z papieżem, powtarzał całe frazesy papieża i Mickiewicza po włosku, zmieniał głos jak aktor, pokazywał jak Mickiewicz trząsał papieża za rękę, a papież słabym głosem mówił: „piano, piano”. Wszystko to było nader interesujące i porywające w jego przemówieniu; — członkini Rady i chrześcijańskiej demokracji p. Korfantowa, patrzyła na niego z rozczuleniem, jak na proboszcza w czasie pięknego kazania, a nazajutrz położyła bukiet róż na stole przed jego miejscem. Pan Lieberman nie był ochrzczony, lecz czegoś zawsze mówił o swoim chrześcijaństwie i o Panu Bogu; żegnając Radę Narodową przed Wielkanocą życzył wszystkim świąt, a potem dodał: „a jednemu wśród nas przedstawicielowi żydostwa...”. Pan Schwarzbard, którego talent oratorski był mniejszy, ale przemówienia bardziej konkretne, krzywił się na to. Ci dwaj panowie nie lubili się nawzajem. Pan Schwarzbard zaczął wyrzekać kiedyś na węgierskich Izraelitów, że są takimi Węgrami, że bez papryki do stołu nie siadają — Lieberman wziął to do siebie i cierpko mu odpowiadał.

Lieberman umarł w październiku 1941. Prezydent nadał mu pośmiertnie order Białego Orła. Lieberman był jednym z ostatnich przedstawicieli austriackiego parlamentaryzmu w dużym stylu i wybitnym reprezentantem swej epoki, ale to nie usprawiedliwiało jeszcze tego najwyższego odznaczenia.

Na kilka lat przed wojną pisałem na manskacie „Słowa”: „minęły czasy parcelacji państw, nadchodzą czasy komasacji państw” Ameryka po wojnie 1914—1918 parcelowała Europę, osłabiając politycznie nasz kontynent; — nie był to jednak początek panowania państw małych, zrzeszonych na równych prawach w Lidze Narodów, jak się durniom zdawało — lecz otwarcie drzwi przed panowaniem mocarstw największych. Parcelacja Austro-Węgier była początkiem epoki: mocarstwa likwidują półmocarstwa. W czasie tej wojny zlikwidowano półmocarstwo: Włochy oraz mocarstwa mniej silne: Francję, Niemcy, Japonię. Zobaczmy, na czym skończy się ten proces.

Wstąpienie Ameryki do wojny przesądza też o treści przyszłych zmian terytorialnych na globie i przesądza jak najgorzej dla Polski: — Ameryka chce mieć Daleki Wschód, Anglia musi jej ustąpić miejsca w Chinach. Imperium Brytyjskie chce obronić Środkowy Wschód... — niepodległości Persji Anglia musi bronić tak samo, albo może jeszcze bardziej, jak niepodległości Niderlandów w Europie; Persja to droga do Indii, a utrata Indii to utrata także Australii, Południowej Afryki i Kanady — rozwalenie Imperium.

Ameryka traktuje sprawy europejskie z lekceważeniem, nie przypisując im wielkiej wagi; jako przykład zacytować można, chociażby historię z Darlanem i Giraud, chociaż Francja, jako państwo kolonialne musi Amerykę interesować więcej od pozostałych państw Europy. W każdym razie zadowolenie Rosji terytoriami europejskimi, a przez to odwrócenie jej uwagi od Dalekiego Wschodu, związanie Rosji kłopotami europejskimi, stanowi niewątpliwie program amerykański w początkach wojny. Potem stosunek Ameryki do Rosji musi się zmienić, a to na skutek rewolucyjnych wynalazków technicznych i wobec otwarcia drogi przez Arktykę, skutkiem czego Ameryka znalazła się nadszpedzanie w najbliższym sąsiedztwie Rosji. Ale to są już czasy 1945 i 1946 r. W 1942 r. kierunek polityki amerykańskiej zaczyna być prosowiecki, chociaż opinia publiczna jest jeszcze antysowiecka — po wojnie zaczyna być odwrotnie: opinia publiczna sta

ła się już prosowiecka, a polityka oficjalna zaczyna zwracać z kursu obranego podczas wojny.

Ostatnim z wielkich skutków wejścia Ameryki do wojny było uzależnienie od Ameryki polityki brytyjskiej. Anglia po wojnie znalazła się w sytuacji, w której byłoby Austro-Węgry, gdyby w 1918 r. Niemcy wygrały wojnę. Austro-Węgry w takim wypadku nie rozpadłyby się, istniałyby nadal. Cesarz Karol, czy cesarz Otton otwierałby parlament, ale samodzielną austro-węgierską politykę należałoby do przeszłości. Dziś tak samo Anglia nie może prowadzić

wojny samodzielnie, bez uprzedniego uzyskania od Stanów nie tylko zgody na tę wojnę, lecz także obietnicy pomocy. Imperium Brytyjskie jest dziś Austro-Węgrami Stanów Zjednoczonych.

Politycy polscy podziemnej Warszawy... w poczciwości swojej myśleli, że... w sprawach Polski decydować będzie nie Rosja, lecz Ameryka i Anglia. „Rosjanie strzelają amunicją angielską, a jedzą żywność amerykańską” zakomunikował mi jeden polityk przybyły z Warszawy wiosną 1944. Było to znów wishful

thinking i znów fałszywa doktryna o omnipotencji Anglo-Ameryki i o tym, że grunt, aby Anglo-Amerykanów przekonać, że Wilno chce być polskie a Rosjanie to furda. Rosjanie i tak muszą zrobić wszystko, co Roosevelt z Churchillim im każą. Kto wie, czy p. Rettinger właśnie w ten sposób nie informował naszych polityków w Warszawie.

Unikajmy w przyszłości rad prowokatorów i nie przelewajmy krwi i nie niszczyjmy kraju dla wywoływania propagandowych efektów.

Stanisław Mackiewicz (Cat)

ANANIASZ ZAJĄCZKOWSKI

## Relacja arabska o Słowianach sprzed tysiąca lat

Do czołowych wydawnictw Polskiej Akademii Umiejętności zaliczyć trzeba ogłoszony ostatnio drukiem I tom nowej serii „Pomników dziejowych Polski”, pt. „Relacja Ibrahima ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich w przekazaniu al-Bekriego”. Wydał, wstępem, komentarzem i przekładem opatrzył prof. Tadeusz Kowalski. Tak ze względu na doniosłość tematu, jak i osobę wydawcy i komentatora, zasłużonego na polu badań orientalistycznych profesora filologii orientальной U. J., a sekretarza generalnego P. A. U. — T. Kowalskiego, należy się tej pracy bacniejsza uwaga nie tylko garstki specjalistów-filologów czy historyków, lecz także szerszych kół czytelników.

Relacja Ibrahima ibn Jakuba, pochodząca z drugiej połowy X wieku (najprawdopodobniej z r. ok. 966), wywodzi się z obszaru objętego kulturą Islamu. W literaturze arabsko-muzułmańskiej szeroko były rozpowszechnione dzieła o treści podróżniczo-geograficznej. Po upadku imperium rzymskiego zanika wiedza geograficzna świata antycznego. Herodot i Strabon idą w zapomnienie, a z Ptolemeusza jedynie okruczy geograficzne przekazano wiekom średnim. (Uwagi na ten temat Lelewela przypominał ostatnio T. Lewicki, „Polska i kraje sąsiednie w świetle Księgi Rogera”, Kraków 1945). Odrodzenie nauki geograficznej, a zwłaszcza geografii opisowej, nastąpiło w świecie muzułmańskim za kalifatu Abbasydów. Klasyczny okres renesansu geograficznego piśmiennictwa arabskiego przypada na IX—X stulecie. Z tego właśnie okresu pochodzą podstawowe dzieła czy też kompendia geograficzne, np. Ibn Hurdadbeha lub późniejszych kompilatorów jak Ibn Haukal, Masudi czy relacje podróżników arabskich, np. słynny raport Ahmeda ibn Fadlana, wysłannika kalifa Mukatadira na dwór Bułgarów nadwołżańskich (r. 922).

Relacje z podróży nie przechowały się w oryginale, tzn. w bezpośrednim przekazie, lecz zwyczajem kompilacji arabskich weszły do większych kompendiów geograficznych. Tak też się stało z opisem podróży Ibrahima ibn Jakuba, który znamy jedynie w przekazaniu al-Bekriego (koniec XI wieku), późniejszym o dobre sto kilkadziesiąt lat od oryginału. Sam tekst u al-Bekriego był już wydany w ubiegłym stuleciu przez orientalistów rosyjskich, barona Rozena i Kunika, pt. „Wiadomości al-Bekriego i innych autorów (arabskich) o Rusi i Słowianach” (Petersburg 1878).

Potrzebę i możliwość powtórnego wydania relacji arabskiej Ibrahima uzasadniał już prof. T. Kowalski w referacie z r. 1934. Po zbadaniu i sporządzeniu dokładnego odpisu z najstarszego manuskryptu „Księgi państw i szlaków”, przechowywanego w Stambule, a pochodzącego z r. 1337, stało się wiadome, że jest to najstarszy ze znanych rękopisów al-Bekriego, zawierających relację o Słowianach. Wskutek tego słusznie obrano ten rękopis za podstawę nowego wydania tekstu.

Spośród późniejszych dopisków na okładce tego manuskryptu wart jest uwagi dwuwiersz arabski, tak dobitnie podkreślający zamiłowanie do podróży i chęć poznania cudzych krajów:



Tadeusz Kowalski

„Szeroko rozpościera się obszar bożych krain, a środki do życia dane przez Boga szczerze rozsypane po świecie.

Powiedz tedy do tych, co mimo niedzy siedzą na miejscu: jeśli wam ciasno w kraju — podróżujcie!

Przypomina to motto słynnego podróżnika i geografą tureckiego z XVII w. Ewlija Czelebiego: *Czok jaszajan bilmez, czok gezen bilir* — „Wie nie ten, kto dużo przeżył, wie ten, kto dużo podróżował”

Główną zatem część pracy prof. T. Kowalskiego stanowi z natury rzeczy w y d a n i e k r y t y c z n e tekstu arabskiego wraz z uwagami oraz przekładem. Trzeba od razu stwierdzić, że zgromadzony przez wydawcę aparat krytyczny wykazuje tak wielką akribię filologiczną, iż sam już mógłby być usprawiedliwieniem nowej edycji tekstu. Jednakowoż wydawca nie poprzestał na tym. Poza rozdziałami o historii powstania tego wydawnictwa oraz o rękopisach, tudzież zasadach opracowania tekstu i komentarza filologicznego, dłuższe wywody w samodzielnych dwóch rozdziałach poświęcił wydawca zabytku osobie autora relacji. I tak po rozważeniu wszystkich dostępnych źródeł prof. Kowalski rozstrzyga wreszcie sporną dotychczas w nauce kwestię samej genealogii i pochodzenia Ibrahima. Ustala też ojczyznę Ibrahima Tortozańczyka. Stanowczo stwierdza, że był to Izraelita, jak dowodzi „nomen relativum” al-Israili, z Tortoza (Hiszpania). Poza tym żydowskie pochodzenie Ibrahima nie zdradza się niczym i gdybyśmy nie mieli tej wskazówki genealogicznej, można by śmiało uważać go za muzułmanina. Słusznie podkreśla więc wydawca przynależność Ibrahima do świata muzułmańskiego. „Ma Ibrahim kulturę całkowicie arabsko-muzułmańską, co widać nie tylko z języka, którym włada jak rodowity Arab, ale i z całego świata pojęciowego, z zainteresowań i sposobu ujmowania zauważonych faktów, w czym nie odbiega zupełnie od umysłowości uczonych Arabów pochodzenia hiszpańskiego z X stulecia naszej ery”.

Zastanawiając się nad celem i charakterem podróży Ibrahima, prof. T. Kowalski misternie zbija bezpodstawne domysły o roli rzekomo handlowej misji Ibrahima. W szczególności niemiecka „nauka” rozmyślnie po-

mijała znaczenie opisu podróży Ibrahima, posadzając go o uprawianie handlu niewolnikami słowiańskimi. Tak więc niemiecki — znakomity skądinąd — orientalista Brockelmann w najnowszej swej pracy pisze o Ibrahimie po prostu: „Der jüdische Kaufmann (Sklavenhändler)!” Toteż wydawca słusznie dochodzi do wniosku o konieczności rewizji dotychczasowych poglądów na rolę Ibrahima. Nie był on zwykłym kupcem, który tylko przygodnie z kalifatu kordubańskiego w X wieku odbył podróż do Niemiec oraz krajów słowiańskich i pozostawił o tym krótki raport, lecz był to wszechstronnie wykształcony uczonej i podróżnik o szerokich zainteresowaniach. Z dalszych wniosków nie bez podstawy nasuwają się przypuszczenia o jego zawodzie lekarskim, co by tłumaczyło szczególniejsze zainteresowanie Ibrahima sprawami higieny i lecznictwem, oraz o urzędowym (misja dyplomatyczna?), a „przynajmniej półoficjalnym charakterze jego podróży”.

Wreszcie porusza wydawca sprawę wiarygodności szczegółów zawartych w opisie podróży Ibrahima i kwestię tę — trzeba to od razu stwierdzić — rozstrzyga w sensie całkowicie pozytywnym. Wspominając o szerokich stosunkach Ibrahima, które torowały mu drogę zarówno na dwory władców jak i do opactw czy świątyń chrześcijańskich, prof. Kowalski widzi w tym „sposobność docierania do pierwszorzędnych źródeł wiadomości, niedostępnych dla przeciętnych podróżników”. Autentyczność wielu szczegółów w relacji Ibrahima, o których przedtem powątpiewano, została w pełni potwierdzona przez wykopaliska czy inne współczesne źródła. Czytelnika relacji o Słowianach uderza rzeczowość i trzeźwość opisu, tak jaskrawo odbijająca od dzieł innych współczesnych autorów, którzy zwykle lubują się w opisach „cudów” i fantastycznych osobliwości. Słusznie więc nauka europejska w XIX wieku wydobyla z zapomnienia relację Ibrahimową, przywracając jej należne miejsce pośród najstarszych autentycznych pomników źródeł do dziejów Słowian.

Główną część pracy referowanej stanowi, jak wspominaliśmy, wydanie tekstu arabskiego oraz przekład polski wraz z komentarzem. Sam tekst relacji o Słowianach jest stosunkowo nieduży, w przekładzie wynosi zaledwie niecałych 7 stron druku. Za to komentarz filologiczny ma objętość dziesięciokrotnie większą. I już sam ten stosunek świadczy o trudnościach, jakie nasuwa interpretacja tekstu. Wydawcy udało się usunąć szereg dotychczasowych niejasności lub błędów. Nie wszystkie jednakże szczegóły zostały wyjaśnione. Tak np. dotychczas pozostaje zagadką mityczne imię czy raczej tytuł (te dwie kategorie nazw często się wymieniają w opisach obcych ludów) króla „wszechsłowiańskiego” Mahā. Za to rozwiązał wydawca zagadkowy wyraz „kinszar” na oznaczenie „monety, pieniądza”, mający już z sobą dość dużą literaturę. Prof. Kowalski udowodnił, że mamy tu do czynienia ze zniekształconą abrewiaturą arabską *k. nisar*, co znaczy „karat zdawkowy do rozrzucania, drobna monetka”. (Zwyczaj rozrzucania monet między tłum przy różnych uroczystościach

był szeroko rozpowszechniony na Wschodzie Muzułmańskim).

Skoro jest mowa o środkach płatniczych, dla których średniowieczni podróżnicy i geografowie arabscy ckdają zawsze żywe zainteresowanie, warto wspomnieć jeszcze o jednym szczególe, a mianowicie o czeskiej „walucie płóciennej”. W relacji Ibrahima czytamy: „W krajach Bōjema (Bohemia — Czechy) wyrabia się lekkie chusteczki o nader cienkiej tkaninie na kształt siatki, które do niczego nie służą. Cena ich wynosi dziesięć chustek za jeden karat zdawkowy. Za nie sprzedają i kupczą między sobą” Wydawca, komentując te słowa, widzi w nich niewątpliwą wiadomość, że niewielkie kawałki (w oryginale arabskim użyto formy deminutywnej, zdrobniale „chusteczki”) pewnego rodzaju materii o luźnej tkaninie stanowiły w X w. w Czechach wewnętrzny środek płatniczy. Stąd całkiem słuszne i usprawiedliwione jest etymologiczne zestawienie pnia słowiańskiego *platiiti*, pol. *placić*, z wyrazem *plati*. Wyrażenie Ibrahima o nieużyteczności tych chusteczek wskazywałoby raczej, że mamy tu do czynienia z przedmiotami o wartości „umownej”. Mielibyśmy w takim razie świadectwo wczesnego użycia tkaniny jako rodzaju pierwotnego „banknotu” słowiańskiego „placidia”. Azjatyckie analogie użycia pieniędzy z płótna bawelnianego, np. w Chinach i Turkiestanie (XI w.), potwierdzać by mogły próbę objaśnienia tekstu Ibrahima o „chusteczkach bezużytecznych” jako umownych środkach płatniczych, znanych u Słowian już w X wieku. Siła nabywczą takiej jednej „chusteczki” w Pradze równała się podówczas cenie jednej kury. Ibrahim wspomina bowiem, że „sprzedaje się u nich dziesięć kur za jeden karat zdawkowy”, karat ten znów — to wartość dziesięciu chusteczek (por. wyżej). Stąd wniosek — za najmniejszą jednostkę „placidia” w Czechach w X w. można było nabyć jedną kurę.

Bogata stosunkowo treść krótkiej relacji Ibrahima wymagała niejednokrotnie szczegółowych komentarzy z różnych dziedzin naukowych. Tak więc poza komentarzem filologicznym, w którym wydawca porusza także różne zagadnienia historyczno-kulturalne i etnograficzne, dołączył cztery komentarze wybitnych specjalistów: uwagi archeologiczne do opisu grodzisk słowiańskich w opracowaniu J. Kostrzewskiego, uwagi antropologiczne o typie czesko-słowiańskim — K. Stołyhwy, etnologiczne — K. Moszyńskiego i komentarz językowy (o nazwach grodów słowiańskich, jak Kraków, czy imionach jak Mieszko, poświadczonych w relacji, czy wreszcie nielicznych notowanych wyrazach polskich np. *cietrzew*) — pióra K. Nitscha. Jeśli to zestawienie uzupełnimy wiadomością, że komentarz historyczny do relacji Ibrahimowej tworzy osobny tom studiów prof. J. Widajewicza (wydanie P. A. U. Kraków 1946), to uprzytomnimy sobie, ile ważnych problemów nasuwa to jedno z najstarszych źródeł pisanych do dziejów Słowian, oraz jak wszechstronnie zostało ono opracowane przez naukę polską.

Wzorowa edycja zabytku arabskiego, którą zaudziejamy prof. T. Kowalskiemu, wzbudzi zapewne szerokie zainteresowanie także poza Polską, w innych krajach słowiańskich, a przede wszystkim w Rosji, gdzie uczeni radzieccy tak wydajnie pracują w dziedzinie naukowej geografii arabskiej (prof. I. Kraczkowski) oraz w Czechosłowacji, gdzie zarówno studia slawistyczne jak i orientalistyczne tak pomyślnie się rozwijają. Omawiana publikacja trafi przede wszystkim do slawistów i historyków. Oni też niewątpliwie zabiorą głos, tak czy inaczej oceniając wyniki ogłoszonych badań. Jest to dzieło powstałe ze współpracy slawistów i historyków z orientalistą, współpracy, w sprawie której tak namilnie występowały u nas niektórzy uczeni jeszcze przed wojną.

Ananiasz Zajączkowski

Zaprenumerować

„ODRODZENIE”

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

FRANCISZEK GIL

# Na procesie ludobójcy

## POD HIPNOZĄ PRZEWODU

Po co to wszystko?

Oto nieodmiennie przed każdym świadkiem tego procesu stojące pytanie. „Ja bym go zastrzeliła jak psa... Powiesić go i już... Co to się bawić... To przecież zwierzę nie człowiek...” oto nieustanny pomruk sali rozpraw, nie schieający refren pięciominutowych przerw na korytarzu. Oto jedynie narzucające się rozwiązanie sprawy komendanta piaszowskiego obozu i likwidatora ghetta, Amona Goetha, jedyny sens, na jaki zdobywa się i jaki dopuszcza ludzka świadomość. I oto polski sąd przez dziesięć dni boryka się z tą jedyną w dzisiejszej sytuacji — kiedy Goeth siedzi na ławie oskarżonych — logiką jego zbrodni.

Codziennie zmienia się publiczność. Coraz to inni ludzie otrzymują karty wstępu. I codziennie bodaj połowa uczestników procesu, połowa ludzi szczerze i do ostatka zajmujących ławy dla publiczności niewątpliwie posiada niepisane, ale jakiegoś zewsząd wyczuwalne osobiste prawo zarzucenia stryczka na szyję oskarżonego.

Przedzielony barierą siedzi przed nimi człowiek, który posyłał do gazu ich dzieci, żony, mężów, który kopał ich, chłostał, deptał, masakrował, który do nich strzelał. Każdy z nich ma prawo do własnej pretenzji o życie Amona Goetha: powiesić go, zastrzelić, zatłuc... nie bawić się. I nie ma nikogo, kto by czuł, że stałoby się wtedy coś niesprawiedliwego. Wbrew temu poczuciu, i jak gdyby obrażając męczeńską śmierć tysięcy ofiar zbrodniarza, sąd przystępuje do udowadniania winy Nemea Bodaj i końca procesu nie pojmując tego publiczność z ław i galerii, choć już na wstępie sąd oświadcza, że „w procesie jest tylko oskarżony a nie przestępca, że jak wielki byłby nawet rozmiar zarzucanych mu zbrodni, to zarzuty te nie mogą same dla siebie stanowić podstawy wyroku, tenże bowiem musi opierać się tylko i wyłącznie na dowodach, a ocena tych dowodów musi być wolna od wszelkiego subiektywizmu i emocjonalnych zapalnych uczuć, gdyż tylko prawda rzeczystwa, tj. prawda obiektywna, może stanowić podstawę słusznego i sprawiedliwego wyroku”.

Wprowadzanie i wyprowadzanie mordercy z sali rozpraw, występowanie jego pytań i sprostań, odczytywanie protokołów, zeznania świadków, ekspertyzy biegłych, przerwy obiadowe, ołówki stenografów i notatniki dziennikarzy, wszystko to, co dzieje się w tym gmachu, otrzymuje prawną i proceduralną oś. Sąd nie przychylił się do powszechnego przekonania ludzi w tej sprawie. Nie pozwala na śmierć ludobójcy z rąk tych, których kopał, dręczył, kałeczył, którym zabrał na zawsze żony, dzieci i matki. Różnie oceniają to zebrani. Jakis pułkownik tłumaczy znajomemu cywilowi, że to po to, żeby po walekroć umierał... „jak wachmistrz Soroka... pamięta pan... na pal...”

Nie wiem czy to prawda. Twarzą w twarz siedzimy po osiem godzin dziennie naprzeciwko pierwszego w historii naszej kryminalistyki podsądnego, którego zbrodnie wylicza się tylko przykładowo. Nie dba się bowiem o ilość, bo inaczej proces musiałby trwać lata. Niesposób ich policzyć i zarejestrować, jak niesposób ustalić, ile razy w życiu ktoś poskładał się w głowę. I ten masowy morderca, wyraźnie zdeterminowany i niespokojny w pierwszej chwili, daje się oszołomić procedurą. Żąda sprowadzenia świadków odwodowych z amerykańskiej strefy.

Na sali siedzą ludzie, których uczynił kalekami, którym wymordował rodziny. Ale on twierdzi, że nie miał tyle czasu do przygotowania swej obrony, co prokurator do wygłoszenia oskarżenia. On nie umiera. Właśnie proces odsuwa mu śmierć. Procedura wymiaru sprawiedliwości daje mu złudzenie ratunku. Wykłada się z trybunałem i ze świadkami o pojedyncze zabójstwa, o ich rodzaje. Porzuca milczenie i próbuje bronić się podsunętymi kategoriami procedury — jest stracony po raz pierwszy. Bo w rzeczywistości czynny jego, które z mozołem, wśród niespokoju, odbudowuje trybunał,

sa nie tylko nieprzebacalne, ale i niewytłumaczalne.

Niemiecka dusza Goetha akomoduje się. Pozbawiona niemieckiej rzeczywistości wojennej, w której była czymś, wrasta w nową, w rzeczywistość procesu. Jak tam, w kompaniach i obozach SS, Goeth z niemiecką skrupulatnością rozwijał się, wypełniał zbrodniczą przestępstwa, wyrosł jako zwierzę, tak tu z niemiecką pedanterią, nie zaniedbując karnej, wyprostowanej postawy, Goeth całym sercem staje się kółkiem rozprawy, kółkiem maszyny śledztwa i przesłuchań, trybem przewodu. W każdym fragmencie procesu dokładnie dostosowuje się do jej działania, zawsze wyrasta na tle, na ile pozwala mu wyrósć procedura.

Żaden naród Europy nie dostępował w niemieckich obozach łaski przewodu, szansı procesu. To, co dzieje się na tej sali, jest zastrzykiem nadziei, polską przedśmiertną łaską dla oskarżonego, której odmawiały naszym ludziom więzienia i obozy niemieckie.

## TYLKO KUKŁA WIERNA PROCEDURZE

Nie na proces przychodzi tu ludzie. Tłum szturmuje salę i czeka cierpliwie przed wyjściem, żeby ujrzeć Goetha. W nim szuka jakiegoś przekazu bestialstwa tamtego obozu, jego postacią próbuje urealnić wyobrażenia egzekucyj, tortur i wymyślnych morderstw. Ludzie chcą widzieć coś, co oddałoby im i przekazało siłę jego władzy w obozie i w ghettach, odczuć brak jakiegokolwiek jej kresu. Próbują przeżyć Piaszów, dotrzeć po ludzku do sytuacji, w których jakiś człowiek codziennie z przyjemnością, w coraz inny sposób zabijał coraz innych ludzi. Przewód zawodzi. Otrzymują wszystko to spisane na papierze, już tylko historię, tak, jak ją im podaje akt oskarżenia, Goeth, opowiadania świadków, słowa sędziów, prokuratorów i obrońców.

I ci, którzy drżeli przed Goethem, kiedy z pistoletami w rękach i z psami młotał się wśród baraków i dołów egzekucyjnych, i ci, którzy widzą go tu po raz pierwszy, zabierają codziennie tylko ostatni, pospolity obraz tej sprawy na sali sądowej.

Sąd zaś szuka ścisłego przekazu czynów zbrodniarza, za każdym razem usiłuje ustalić stopień własności i inicjatywy podsądnego w zbrodni. Czy można tu jednak cokolwiek pojąć? Niewspólnie ogromny jest akt oskarżenia w stosunku do tego małego człowieka i niewspólnie mały jest on dziś, nawet tylko wobec historii swych tysięcy zbrodni.

Jak pojąć tamto rozkołysanie beścia bez fali zwycięskich frontów, obozowych „zugangów” i „abgangów”? Jak stypizować taki rozwój człowieka, którego istotą jest zadawanie śmierci?

Ludzie są zawiązani. Nie podobna cokolwiek określić w tym odkrywaniu, odnarkotyzowaniu, wydobyciu z tej już tylko procedurze wiernej kukły z ławy oskarżonych. Ludzie nie mogą pogodzić aktu oskarżenia i artykułów prasowych z widokiem tego oto oskarżonego. Nie wygląda jak morderca i nie jest podobizną aniołka. Wygląda zwyczajnie. Zapominają, że za niemieckich czasów zabijano tylu niemorderców.

Przecież mi nigdy nie widzieliśmy Niemców i nie żyliśmy z nimi jako ludźmi. Dziesięć wieków nie śmiałyśmy się nigdy razem z nimi i nigdy nie płakaliśmy z nimi. Nie przeżyliśmy razem ani jednego wspólnego odruchu: tańca, śpiewu, smutku. Widzieliśmy ich tylko na naszych drogach — zakurzonych, w niaszczach i okularach, nieruchomo siedzących w autach albo butnie rozkraczających na gruzach naszych zburzonych miast. I jest w tym jakieś historyczne niemieckie przekleństwo, że w odczuciu Polaka mogą być tylko katami albo wisielcami.

## MIEDZY RZECZYWISTOŚCIĄ ZBRODNI I RZECZYWISTOŚCIĄ SPRAWIEDLIWOŚCI

Dwie są rzeczywistości tego procesu: jedna niemiecka, druga nasza. Goeth wie, że po przeniesieniu świa-

ta jego czynów w nasz, nie ma dla niego ratunku. Dobrze orientuje się, jak nasz świat wartościuje jego krwawe dzieło. Dlatego staje po drodze. Nie odpiera zeznań świadków w sensie istotnym. Najwięcej uwagi poświęca biegłemu prawu międzynarodowego, składającemu ekspertyzę w kwestii uprawnienia sądu polskiego do sądenia wojennych przestępstw takich jak Goeth. Szuka ratunku nie w usprawiedliwieniu swych czynów, lecz w podważeniu samej zasady procesu. W końcu zapytuje, czy jest słuszne, żeby za eksterminację Żydów i Polaków odpowiadał on, a nie ustawodawcy i wyraża wątpliwość, żeby w przyszłej wojnie żołnierz mógł się zastanawiać czy dyskutować słuszność rozkazów przełożonych. On był tylko żołnierzem i nie on wydawał rozporządzenia.

Drugie czułe miejsce przewodu upatruje Niemiec w fakcie, że za zbrodnie, popełnione w olbrzymiej większości na Żydach, sądzi go Polacy. Na początku procesu wysuwa kontrargument dobrych rzekomo stosunków w obozie polskim, w ostatnim słowie żałuje, jeśli w tymże obozie były jakieś uchybienia. Przedtem on był panem. Dziś panują Polacy. Żydzi go nie sądzą: nie mają swego trybunału, nie mają swego państwa.

Obok trybunału, razem z dziennikarzami, siedzą tylko przedstawiciele Żydowskiej Komisji Historycznej i ich biegły. W głębi, na sali, codziennie zmieniają się niedobitki narodu, który ginął w obozach Goethów. Tymczasem świadkowie wciąż podkreślają solidarność i pomoc wzajemną więźniów obozu Polaków i Żydów. Daremne są sugestie Goetha podzielenia zadawanej przezeń śmierci na żydowską i polską.

Pierwszego dnia nastroj sali sądowej jest nastrojem biur pięć po ósmej. Przewód jest świeży, nie utarty. Sam Goeth wiele rzeczy z aktu oskarżenia określa jeszcze „unrichtig”, zapewnia, że nie znajduje się żaden prawdziwy świadek zarzucanych mu przestępstw. Kiedy przed sądem staje dziesiąty, dwudziesty, pięćdziesiąty świadek z tymi samymi słowami „zabił, kopał, dusił, bił pejcza, poszczuł psy”, urzędowe krzesła pustoszeją, ławy dla publiczności czynią się przestronne. Młyn sądu miele i miele zbrodnie Goetha. Proces wielu ludzi zużył i wielu wciąga. Tylko kobiety dzień w dzień niezmiennie przynoszą lornetki i dzień w dzień przesładają się pod koniec rozprawy ku oskarżonemu. Z wypiekami na twarzy albo z zupełną błądzą patrzają na Goetha, i lekroć mowa o mordowaniu dzieci, o pedzeniu nagich kobiet bieciami do egzekucyjnego dołu, o szczuciu skazanców psami.

Goeth dwukrotnie pytany przez sąd dwukrotnie broni się, że nikt tego nie mógł widzieć wskutek gesty „Postenkette” i stromych skał wapieniaka. To zaprzeczenie wydaje mu się bardziej wartościowe, bardziej pozytywne w przewodzie niż bezpośrednio zaprzeczenie swego udziału, do czego w końcu dochodzi. Ale gdy na podium stają świadkowie, Goeth garbi się w czasie zeznań, mimo że faktura słowna i przewód sądowy odebrały im dynamizm, pozbawiły tkanki. Miejąc wolności nalożyli już na świadków jakąś sciszającą warstwę, nadały im makabrycznej przeszłości jakiś jeden narracyjny ton. On dzieł ich od oskarżonego, umożliwia poruszanie się w jednakich kategoriach. Śmierć obozowa kroczy nieustannie przez salę sądową. W oczach tysięcy ludzi widok jej jest nierozłączny z widokiem Goetha i tak oskarżony kroczy coraz bliżej swej własnej śmierci. Kontrolerskie są jedynymi momentami, kiedy kukła z ławy oskarżonych ożywia się.

Goeth jako więzień przeżywa je szczerze raz swą wielkość, ostatni apel żyjących i martwych ofiar. Starania trybunału o dokładny rachunek jego zbrodni stwarzają mu iluzję targu o jego życie. Bierze w nim udział po niemiecku, ołówkiem w rękę, z zawsze gotową korektą cyfry zabitych i zagazowanych. Gdy zaczyna wylizywać racje żywnościowe „pro Kopf und pro Woche” człowiek żył, ma się, że zagubił się sens tego pro-

cesu. Niekiedy nagle podejrzewa, że rzeczywistością jest tylko to, co dzieje się na tej sali sądowej, że rzeczywistość jest tylko Goeth z ławy oskarżonych, tylko akta, zapiski, zeznania świadków, mowy prokuratorów i biegłych, a tamto wszystko — obóz, egzekucje, Piaszów, libacje SS-manów i kochanka Goetha, Maiola, jakąś aberacją, jakimś dręczącym, niemożliwym do przychwylenia majakiem. Nawet Goeth broni się, że w tej rzeczywistości nie można go sądzić za tamtą.

W takiej malignie każdy ludzki odruch człowieka, na którym koncentrują się setki nieprzetłumaczalnych na zjawiska naszego świata zeznań świadków, jest wydarzeniem. Wyciągnięcie chustki przez oskarżonego i wysiakiwanie nosa staje się czymś niezwykłym, ludzie rozprawiają o jedynym złowionym uśmiechu oskarżonego, dziękczynnym uśmiechu dla obrońców po wygłoszeniu ostatniego słowa, zacieranie podsądnego do dołączonego przez prokuratora do aktów sprawy albumu pamiątkowego, ilustrującego zbrodnie niemieckie popełnione na Żydach, nabiera sensacyjnego charakteru. W stadium dowodowym proces raczej zamazuje ludziom zasadnicze dla cywilizacji perspektywy sprawy Goetha. „Schudł bardzo” — powtarzają między sobą. „Siedem kilo surowego mięsa zjadał dziennie”.

## NIEUNIKNIONY BŁĄD OBRONY

Oskarżenie i obrona to dwa filary podtrzymujące każdy przewód procesowy. Od nich zależy jego bieg i jego napięcie. W procesie Goetha ów drugi filar pada na samym początku. Obrońcy rzekają się swej roli. Ostatnią szansę wylumaczenia tej sprawy złuzowuje grymas niechęci, moralne pas przydzielonych z urzędu adwokatów.

Tylko prokurator zajmuje się na serio Amonem Goethem. Tylko on jeden widzi sens tego, co oskarżony robił. Reszta uczestników procesu, pozbawiona wiary w jakiegokolwiek wytłumaczenie czynów podsądnego, pozbawia go zaplecza. Goeth nie spiera się o inny, przeciwny ocenie sądu sens swych czynów, Goeth przez cały czas rozprawy dba tylko o pomniejszenie jedynej na sali — oceny prokuratora. Prokurator reprezentuje i broni naszej ludzkiej rzeczywistości. Obrona wstydy się pomóc Niemcowi zrekonstruować filozofię jego rzeczywistości.

Według naszych pojęć Goeth mcze tylko o wszystkim milczeć albo tylko zaciekle bronić niemieckiej filozofii gnębienia ludów. W tym drugim wypadku doznalibyśmy ulgi: dochodzilibyśmy do jakiegoś szpuli tego zbrodniczego skłębienia. Ale Goeth wlece się w ogonie prokuratorów sformułowań. Sądziemy kukłę, która plecie głupstwa nie mające sensu i związku z powagą jej zbrodni. Kukła czuje bezsens ożywienia się i pełnego wystąpienia w otaczającej ją rzeczywistości humanistycznej. Nie próbuje nawet wstąpić na podsuniętą w rozprawie scenę, nie chce przynajmniej zagrać swej wieloletniej rzeczywistej roli zbrodniarza. Wynotowuje setki szczegółów z aktu oskarżenia, z zeznań świadków i kłóci się o deski, o kalorie, o ilość kości w kotle zupy.

Proces nie rozwiązuje zasadniczego pytania, jak to się stało, że syn niemieckiej mieszczańskiej rodziny wydawców nut, Amon Goeth, ojciec dwojga małych dzieci, człowiek inteligentny, poczyna nagle katować i mordować tysiące ludzi, nie zostaje się z rewolwerem i harapem, nawet eksekrementy oddaje na trupy. Kiedy ten Niemiec począł mordować, jak to się stało, że zachwylił się niszczeniem człowieka i jak zbrodnia ewangelia hitlerizmu znalazła tak zdolnych i tak fanatycznych wyznawców. Sprawa poszła o to, czy Goeth mordował już przedtem, czy też był tylko doskonałą niemiecką płytą do nagrania przez ustrój zbrodni.

„Nie się od niego dowiedzieć” — oświadczył mi prokurator. „Obracaliśmy go na wszystkie strony, nie z tego nie wyszło. Całe jego życie poprzednie jest zamknięte na śledem pieczęci. Powtarza tylko, że do objęcia komendatury w Piaszowie

jeździł po cegły i deski do Belzca, do Tarnowa...” Jasne, że Goeth, jeśli nawet przedtem smakował już w zbrodni, nie przyzna się do czynów nie objętych kręgiem materiału dowodowego i nieznanymi sądowni. Z końcowego jego oświadczenia, że „gdyby nie wojna, nigdy by nie potrzebował zabijać ludzi”, wynika jednak, że do wojny Goeth był spokojnym mieszczańskim. Wojna rozwinęła jego osobowość do „piaszowskich” rozmiarów. Tu dopiero, w codziennej rzezi, stał się pełnym niemieckim człowiekiem.

Jakże szczupłe i marne musiały być dla Goethów normy wiedeńskiego mieszczaństwa! Goeth przez cały czas bronił się, że jego małżeństwo z hitleryzmem było związkiem z must, miłością z rozkazu. Wszyscy świadkowie i biegły Żydowskiej Komisji Historycznej wykazali, że było to małżeństwo z idealnej miłości, że skrupulatność i nieustanna własna inicjatywa w tym szale są dowodem głębokich sympatyj wiążących oskarżonego z ludobójczym systemem. Jeśli nawet obrona nie miała szans postawienia na nogi Amona Goetha, to winna była zasugerować mu to swą postawą. Ośmielić go do obrony siebie nie trybikami kółka rozprawy, ale filozofią i świadomością, które napinały jego muskły w obozie, które powodowały jego codzienną zbrodniczą działalność. W niezamierzony sposób obrońca byłby tu pomógł prokuratorowi. Zwabiony w swoją rzeczywistość i zmuszony do oparcia się o coś, Goeth szedłby ciągle w tył i musiałby owym rodzajem obrony afirmować swój indywidualny udział w tym małżeństwie, albo potwierdzić w końcu, że za jego plecami jest tylko pustka, tylko żądza niszczenia, tylko rozkosz bestialstwa, — jak teraz między sobą a tą pustką nieprzerwanie ustawia niemiecki rozkaz.

Godzinami przepuszczając zbrodnie Goetha i ogrom krzywd ludzkich przez gęsty filtr procedury, sąd jak gdyby pomniejsza rozmiar sprawy. W istocie odbudowuje pojęcie, których podeptanie odebrało życie ludzkiemu jakąkolwiek wartość, a Europę przeobraziło w esesowską dżunglę. Bada bowiem najuważniej, czy i na jakiej podstawie ma zostać odebrane życie nawet tak niewątpliwemu zbrodniarzowi. Przez bierne przeważnie zachowanie się obrony kto wie czy nie została pominięta możliwość przyznania się Niemca do czegoś więcej niż rozkazu. Może jednak próbowałby afirmować choćby część tego, co popychało go ku temu rozkazowi, co dawało mu rozkosz ze spełniania go, co tak potulnie i tak strasznie przywilywało go do niego.

## TYLKO FELDWEBEL INTENDENTURY ŚMIERCI

W dzień ostatniego słowa ludzie stają się kłótlivi, opryskliwi. Miejsca zajęte są co do jednego, już nie krzesła czy ławki, ale decymetra wolnej przestrzeni. Słabsi wydzierają się z cizby na korytarz. Złani potem ludzie patrzają bez przerwy na Amona Goetha. Każdy szmer, każdy głos wśród audytorium jest natychmiast uczyszany nerwowymi krzykami sąsiadów. Sala znajduje się pod hipnozą jakiejś zbiorowej odpowiedzialności za ciszę. Jedni strofują drugich, jakby przez tamtych niesfornych miało się im coś stać jakby przez nich mieli mieć pomniejszony udział w procesie, nie dostąpić czegoś ważnego. Cały ten rozgorączkowany tłum gna przeczcucie jakiejś ostatniej szansy.

Może on to wszystko rozumie, on, Amon Goeth, i może chociaż w ostatnim słowie nam także użyć łaski czy zmysłu pojęcia rzeczy, których był długoletnim reżyserem i wykonawcą. Chodzi o filozofię, o sens piaszowskich bestialstw i tortur, o sens śmierci tamtych tysięcy. Nawet nie o Piaszów: o ludzkie wyjaśnienie tych dziesięciu dni rozprawy. Oczekują dziś cicho i pokornie nawet ci, którzy w poprzednich dniach płakali i męczli się, krzyczeli przez barierę „du Hund” i pokazywali Goethowi, że będzie wisiał.

Niemiec wstaje i mówi: „es ist selbstverständlich.” — jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że latryny w obozie były oddzielne dla mężczyzn i oddzielne dla kobiet. Nieprawdą

Jest, jakoby w czasie inspekcji obozu przez wyższe władze udzielał fałszywych danych co do produkcji. Ilość kalorii i racje żywnościowe ustalało ministerstwo. Inne normy obowiązywały dla Rzeszy, inne w obozach na terenach okupowanych. Przy transportach musiało się strzelać, ponieważ ludzie nie utrzymywali porządku, przerywali kordony, tak, że nieraz trzeba było ustawić szeregi po pięć, sześć razy... Potem przez kilka minut polemizuje z zeznaniami świadka dr. Bibersteina i żąda planu miasta Tarnowa, na którym łatwo można wykazać jego niewinność przy likwidacji tarnowskiego ghetta. Pokwitował ze skonfiskowanych Żydom kosztowności nie wydawano (śmiech), wszelkie dochodzenia przeciwko niemu o sprzeniewierzenie przedmiotów wartościowych, należących do więźniów a konfiskowanych „zu Gun-

sten des Reiches“, zostały przez SS umorzone. Sala, ludzie pod mega fonami zastygają w jakimś upartym spazmie oczekiwania na gigantyczne proporcjonalną obronę filozofii, w imię której działa się zbrodnia o tak potwornych rozmiarach. „Bezügliche Küche und bezügliche Latrine...“ — oto ostatnie słowo Amona Goetha.

Broni się dość skrupulatnie, pod ważą kolejno niektóre zeznania świadków, ale ciągle o jeden stopień mniej, niż tego wymaga wielkość sprawy. Jest obarczony jakimś de faktem pojęcia świata.

Jakże ubogi jest ten Niemiec broniący się w tak gigantycznej sprawie tylko wyrównawczym, korektorskim stosunkiem do tamtej rzeczywistości. Greiser starał się wydstać z oskarżonej rzeczywistości. Twierdził, że nie był nigdy jej aktywnym elementem, zbudował teorię gaulei-

terowskiej złotej klatki między Berlinem i „Warthegau“. Składał przyrzeczenia poprawy i pracy nad zbliżeniem narodów Goeth nie wychodzi w swej obronie poza płaszowską SS-mańską rzeczywistość, mordy i katusze są dla niego dalej obiektywnym bytem, który on tylko stara się inaczej ustalić, nadać tajemniczy, „nieznany sądowi i niezależny od niego“ sens codziennej obozowej śmierci. Przychodzili „z wewnątrz“ wyroki, on niespodziewanie zabijał, a świadkowie nie mogli wiedzieć dlaczego.

Cóż to za naród, który swoje zbrodnie przeciw ludzkości traktuje na serio, który dyskusję w tej sprawie uważa za rzecz zupełnie naturalną i właściwą światu cywilizowanemu. Goeth najgłębiej przeżywał zarzuty dotyczące administracji obozu. Musiały go najgłębiej oburzyć i odczuć pełną, rzeczywistą potrzebę

usprawiedliwienia się tylko z nich, gdyż broni się przed nimi najdłużej.

Tak, zamiast legendarnego gnębiela i lunatycznego mordercy, zamiast obłąkanego fanatyka hitlerowskiej idei, staje przed nami po raz ostatni jedynie feldwebel niemieckiej intendencji śmierci. Pod władzą takich feldwebli, poczynając od najwyższego urzędującego w Reichskanzlei i kończąc na najniższych — Goethach, dostała się Europa po tyłu wiekach swojej kultury.

W dwa dni później o godzinie czwartej po południu Najwyższy Trybunał Narodowy wchodzi na salę i ogłasza wyrok śmierci. Przewodniczący Trybunału poleca oskarżonemu, że przysługuje mu prawo wniesienia próśby o ułaskawienie. Goeth skrzętnie kiwa głową: ja, gut!

Franciszek Gil

TADEUSZ PEIPER

## Fantazy i Idalia

I

Poznali się w Rzymie. Pierwsze kroki zrobiła ona.

Zaraz w pierwszej rozmowie poruszyła temat miłości, przy czym wypowiedziała zdanie, że miłość zaszła się wyłącznie na wierze, bo to, co w niej istotne, jest nieuchwytnie i nie da się dowieść. Na to odparł on, że pojmowała miłość inaczej, gdyby na nią spojrziała przez apollinjskie posągi, poprzez alabastry meksykańskie, poprzez alabastry meksykańskie, Owinęła się szalem a szal palił się od płomieni, które owijał.

Widoczne było, że to, co ta kobieta mówiła o miłości, nie było zgodne z naturą jej odczuć. Fantazy, który dobrze znał kobiety, dobrze znał też gatunek tej niezgodności i wiedział że w takim wypadku trzeba rzucić magiczne słowo „nieszczęśliwa“, więc rzekł Idalii, że na jej warkoczach widzi gwiazdę nieszczęścia. W to jej graj! Zaraz wyciągnęła stąd konsekwencję dla ich wzajemnego stosunku, stwierdziła, że on jeden ją rozumie, on jeden rozumie, że jest skazana na osamotnienie i... on jeden może ją z tego osamotnienia wyrwać. Jak może tego dokonać, to wynikało z jego ujęcia miłości, z owych alabastrów, o których mówił przed chwilą.

Ale Idalia — znowu niezgodnie z tym, co rzeczywiście czuła, — poszukała dla określenia ich stosunku nazwy aż mistycznej: „Pan mi będzie duszą-bratem“. Fantazy podjął nieszczęzną nazwę, przyznał, że potrzebna mu jest dusza-siostra, ale temu „bratersko-siostrzanemu“ związkowi dusz przydzielił cele zgola nieduchowe i cynicznie oświadczył, że jest mu potrzebna kobieta jak rękawiczka potrzebna jest rękawiczka z tego samego materiału i tego samego numeru. Tak się zaczęło.

II

Fantazy komponował swe życie na wzór głośnych postaci literackich. Wszystko, co w jego epoce słynęło jako wartość kulturalna, napływało w niego i bytowało w nim niezamienione w wartość jego osobowości. Sprzeczne pochodzeniem i sensem, odłamki kultury leżały w nim obok siebie jak w kufrze turwisty pamiętki krajów, przez które przejechał: obok hellenizmu byronizm, obok byronizmu romantyzm, a obok romantyzmu mistycyzm. W gruncie rzeczy był umysłem konserwatywnym i to, co było nabytkiem jego lat młodocianych to co wyniósł ze szkół, to zajmowało w jego umyśle najwięcej miejsca: dla niepowszedniego wyrażania myśli sięgał głów nie po wierzenia świata antycznego.

W owej epoce, kiedy to nawet lo kaje pisywali wiersze, pisał je także on. Poeta nie był Nikt ani razu nie wspominał o tym jakoby opublikował jaką książkę, jakoby zajmowała się nim opinia literacka, jakoby miał innych czytelników prócz najbliższych znajomych, a sławny był tylko w okolicy, i bardziej ze swych sukcesów towarzyskich, niż choćby z listów w których silił się na literackość. Prawda, dwa razy nazwano go wieszczem. Tak ale raz brzmiało to jak ironia, drugi raz jak

podnieta mająca ożywić straceńca. Nie, nie był wieszczem i nie był poetą, był małpiarzem poetów i wieszczów.

Takie osobniki miał każdy kraj w każdej epoce. Łączyły się w nich jaskrawo cechy międzynarodowe z narodowymi. W Fantazym było tyle z kosmopolity i tyle z własnego narodu, ile go było we wszystkich kulturalnych globtrotterach ówczesnej Europy; był do nich podobny w ogólnie-europejskich wzorach, które wybierał dla komponowania swego życia, a różnił się od nich tymi składnikami swych autokompozycji, które wywodził się z kręgu poetów polskich, przede wszystkim z kręgu Krasińskiego i Słowackiego.

Może przynajmniej był szczerym wielbicielem piękna i wiernym jego spełniaczem? Nawet tego powiedzieć o nim nie można. Wszystko umiał pomieścić w swym życiu, a co nie godziło się z pięknem, to oddzielał od niego miejscem lub czasem, przy czym nie można było mieć pewności, że okaże się dość odporny na „blo to świata“ i że się nim nie skala. Brzydactwa czy nawet podłości wywodził z podszeptów literackiego szatana lub z kaprysów fantazji, podobnie jak niektórzy nieuczciwcy wywodzą je z rzekomych żartów. Kiedy powoływał się na cnoty rzymskie czy polskie jako na wzory swego postępowania, okazywało się to tylko śmieszną fanfaronadą, bo pod przechwałkami, pod emfazą frazesów tkwił tchórz, człowiek mało-duszny, niezdolny do czynów, które uważał za piękne. Był fałszerniem piękna; życie jego było mimowolną parodią życia pięknoduchów.

III

Idalia była kobiecym odpowiednikiem Fantazego.

Przykrawała swe życie według wzorów mody. Mniej brała te wzory z lektury a bardziej z Italii, którą co prawda znała powierzchownie. Przy lada sposobności posługiwała się Ariostem, o którym zapewne nie wiedziała więcej niż prosty Jan, posługiwała się także mitologią grecką przy czym nie zawsze unikała gafy, — ale wzorami, które działały na nią najbardziej były kobiety włoskie, takie, jakimi widziała je w swych

TADEUSZ KUŚIAK

### Nigdy

Układam szczęścia powieźra  
jeden na drugim, buduję  
dom ocalały w pamięci,  
choć starty z powierzchni ziemi.

Wokół domu był ogród,  
dziś słupy pustego powietrza,  
w którym zagęszczają się liście  
odrosłych z pamięci jarzębin

A ponad ogrodem i domem  
związane na niebie jak wstążka,  
wylecą smugą śnieżyścią  
oblaskawione gołębie.

wyobrażeniach. Fantazy grywał czasem rolę starożytnego Rzymianina, Idalia ciągle uważała się za nowożytną Rzymiankę. Fantazy często byronizował swe życie, Idalia marzyła o jakimś tragicznym rozdarciu wewnętrznym. Ponieważ ani jej natura ani jej kultura nie wytworzyły w niej podłoża pod przeżycia wstrząsające, i ponieważ tragedie nie przychodzą, gdy się ich pragnie, lecz wtedy, gdy się ich unika, swoje marzenia snuła Idalia daremnie. Ale od czegoż są urojenia! Wystarczyła decyzja i Idalia skroliła się według swych marzeń, urobiła obraz samej siebie w liniach i barwach skopiowanych, zaczęła nazywać siebie duszą zranioną, duszą nieszczęśliwą, zaczęła przypisywać sobie szaleństwo i stała pod ręką sztylet, oczywiście wenecki, jak gdyby każdej chwili mogła popełnić samobójstwo lub zabójstwo. Wpięła też w siebie, niczym migotania burnusowego szala, rozpoetyzowanie i egzaltację.

Fantazy pisał wiersze i wściekle literackie listy, Idalia cierpiała na listomanję. Jej oczy były to dwie plamy atramentu, i cała była w tych oczach, które wszystko widziały tak, aby z tego wynikał poetyczny list.

Jak Fantazy wszystko umiał pomieścić w swym życiu, tak samo i ona. Głównym motywem jej poetycznych krojów była pogoń za rozgłosem. Obraz samej siebie skroliła dla ludzi, na których jej zależało, bo pozwalała jej pogardzać wszystkimi innymi. Pozwalała jej także nie liczyć się z ich opinią i chodzić drogami, które mogła uzasadniać postępowaniem pojmowanym frywolnie. Czasem mogło wydawać się, że ona wcale duszy nie ma, że ona tylko na duszę choruje, tak jak modnisią choruje na kapelusze, którego sobie sprawić nie może. Nieraz posługiwała się przygodą, poezją, pięknem, — jako pozorem, który miał ją wesprzeć w jej zatajanych zamiarach, nieraz fałszowała sytuację, aby ze sfalshowanej wyciągnąć dla siebie korzyści. Szukała wtedy usprawiedliwienia w praktykach „świata“, tego samego „świata“, dla którego na zewnątrz obnosiła pogardę. Podobnie jak Fantazy miała ona z pięknoduchów, tylko tyle, ile miałyby z Afrodyty czy Apollina ich odbicie w krzywym zwierciadle.

IV

Byli więc oboje odmianą jednego z odwiecznych typów ludzkich, tego, który swój sposób życia wyprowadza z naśladowania ludzi sztuki!

Podobne naśladowanie mogło być cnotą, bo przecież sztuka, a literatura w szczególności, istnieją po to, aby, odtwarzając ludzi, przetwarzając ich. Rzecz w tym: w jakim celu i jak bierze w siebie sztukę spożywcza. Jeśli jest człowiekiem wartościowym, nabytki artystyczne nie służą mu tylko do rozrzucania ich na pokaz, nie mają one układać błyskotek na powierzchni jego życia. Jeśli jest człowiekiem wartościowym, nabytki artystyczne wnikają głęboko w jego psychikę, często zmieniają jej naturę, rodzą nowego z gruntu człowieka. Wartościowy spożywcza sztuki, jeśli nie umie dorównać obranym wzorom, przeżywa w sobie bolesne walki, a jeśli im dorówna lub jeśli wyrośnie w indywidualność od nich różną, nawet wielką, to i tak nieraz — gdy zmuszony jest powziąć postanowienia, które mogłyby być zakwestionowane w świetle piękna, czy dobra — zestawia się z wybranymi przez siebie postaciami sztuki jako z ludźmi, z którymi może mówić najszczerzej. Ale wszystko to, całe to obcowanie z wzorami, całe to przeżywanie piękna wraz z nieodłącznymi od niego kolizjami, odbywa się w głębi duszy, przeważnie chowane jest w sobie i pozostaje nieznanie otoczeniu, a jeśli uzewnętrznia się, to wstydliwie i tylko w chwilach szczególnych.

Dla Fantazego i Idalii było piękno wyłącznie walorem zewnętrznym, obnosili je na pokaz, dla zaspokojenia próżności, ambicji. Należy to do istoty ich typów. To samo miał w sobie don Kichot. Ale między nim a nimi zachodzą dwie znamienne różnice: 1. Dla don Kichota punktem wyjścia był ideał ściśle określony i zupełnie jednolity, skopiowany z romansów rycerskich, z bohaterów namiętnie i dogłębnie umiłowanych; w Idalii a szczególnie we Fantazym leża obok siebie odłamki różnych nie godzących się ze sobą ideałów i tworzą mieszaninę pstrą, błazeńską. 2. Don Kichot realizował swe wzory z niezłomną wiernością, z zaciętym uporem, nie odstępował od nich w najtrudniejszych nawet sytuacjach, choć świat, który nie pokrywał się z jego światem, walił w niego bolesnymi ciosami; Fantazy i Idalia w każdej trudnej sytuacji sprzeniewierzały się swym wzorom, porzucając je na rzecz łatwiejszego życia.

Liczne kobiety poprzedziły Idalię na miłosnych drogach Fantazego. Wprawdzie nie wahał się twierdzić, że pasły się one ogniem jego serca, ale dawał też do zrozumienia, że niejedna kobieta miała dla niego znaczenie tylko „lauru“, oczywiście zdobytego za chwalony wśród znajomych wiersz o niej lub choćby za rozplotkowany sukces uwodziciela. Także w tej dziedzinie życia była Idalia jego kobiecym odpowiednikiem. Tęskniła za mężczyzną, który by ją opiewał wierszami, marzyła o miłości, która by dawała rozgłos, gotowa była wziąć na siebie los kobiet porzucanych, byleby porzucanie odbywało się na wzór włoski i miało echa donośne, pragnęła miłości nieszczęśliwej, ale takiej, która z kolców swych uwilubiła dla niej wieniec. Szukała takich miłości zawzięcie, i mając Amora pod swymi rękami, kierowała jego łukiem na wszystkie strony. Ów wieniec laurowy, o którym marzył Fantazy, i ów wieniec kolczasty, o którym marzyła Idalia, ukazywały się obaj na rzymskim odcinku ich dróg — obiecując spełnienie marzeń.

Inne jeszcze wzięły sprzyjały ich miłości. Fantazy, bywalec światowy, świetnie prowadzący konwersację, inteligentny, ocytany, ze złotymi binoklami na piersiach, wytwarzał atmosferę, w której Idalia czuła się dobrze. Rodzące się w nim myśli o nowym ideale epoki, ideale życia pogodnego, harmonizowały z jej myślami o niszczycielskim wpływie. Jak utrata niepodległości ojczyzny wywierała na to wszystko, co dla tej łaknącej życia kobiety było jego radością, jego kwiatem. Kobięca ambicja utrzymywała ją w wierze, że jeśli jej nowy wybraniec zdoła uniknąć niebezpieczeństw, jakimi są dla niego wino świata i błoto świata, to kiedyś okryje się sławą, może nie jako autor wierszy, ale przynajmniej jako propagator życia pogodnego. Wiara ta, jej samej potrzebna, przydawała się także jemu jako podniecia. Fantazy brał z Idalii — ruch.

Pod tym wszystkim dobiły się swych praw alabastry, owe alabastry, które rozświetliły pierwszą zaraz ich rozmowę. Dasia była kobietą fertyczną, dziański jej chód zdawał się brać pęd z ruchu bioder, ciało miała mięsiste, a gdy zdejmowała wielką kryzę, którą osłaniała wielki dekolt, przypominała syrenę o wydatnych piersiach. Wdzięki urody roztaczała Dasia nieraz w czasie wspólnych z Faniem wędrowek wokół ruin starożytnego Rzymu. Układała się na granitach jak na pościele, i gdy on składał hołdy jej urodzie, pochylała się nad nim kunsztownie. Poil ją miłością. Alabastry jej ciała ujarzmiły go. Gdy nie miał ich przy sobie, miał je w wyobraźni. Aby radować się nimi poprzez podwiązkę Dasi lub poprzez różę którą nosiła na piersi, posyłał swego powiernika do jej służącej z zadaniem wydstania miłosnych fetszyków. Stał się Fanie zazdrosny, i tegoż powiernika wysyłał pod dom Dasi, aby śledził jej wyjazdy, a w godzinach podejrzeń niezwalczonych posługiwał się — na wzór Otella — sztyletem i przykładał go do jej piersi.

Nagle krach! Fanie porzucił Dasię, wyjeżdża z Rzymu.

Cóż się stało?

Ha, on zarzuca jej niedokwasy, ona jemu zmienność. My, którzy rozczujemy się już w nich jako tak, znajdujemy wyjaśnienie pełniejsze. Nie mogli dać sobie wzajemnie miłości wiernej i szczęśliwej, bo kolidowały to z ich marzeniami głównymi, kolidowały z ich życiowymi kompozycjami. Płytkie przeżywanie wzorów sprawiło, że oboje musieli mieć w sobie niedokwasy, oboje musieli być dla siebie zmiennikami. Nawet dla nich współżycie takie musiało tać się męką. Rozewrał je on, pomyślał o innym życiu i — wrócił do kraju.

Tadeusz Peiper

Odpoczywa — nie wiedząc o tym,  
że koniki polne wskazują  
do lśniącego i przepastnego  
jak labirynt wnętrza puzonu.

Nagle grzmot świecących mosiądzów  
zaskakuje smutnych wędrowców —  
i padają koniki w trawę  
pod ulewą kipiących walców.

Omdlewają tak jak dziewczyny  
te, którymi walczyk powozi,  
zaprzęgnięte do ciężkich ramion  
kiermaszowych rącznych kochanków.

### Na kiermarzu

Między jednym a drugim marszem,  
jakim grmi strażacka orkiestra  
na kiermarzu w małym miasteczku,  
trębacz stawia puzon na trawie.

## WSPOMNIENIA NOËLA

Nie znamy jeszcze w całości wspomnień ambasadora Noëla z jego ambasadorstwa w Warszawie („L'agression allemande contre la Pologne”, Paris, Flammarion, 1946). Już te wyjątki, które się ukazały w prasie francuskiej, pozwalają sądzić, że jest to jeden z najważniejszych dokumentów do historii polityki polskiej i wschodniej polityki Francji w latach przed wybuchem wojny. Trafna, bystra, krytyczna charakterystyka Becka: „Wróg Rosji, przeciwny Czechom, nieufny wobec Francji, nie znający Anglii, ufający Niemcom, chciał prowadzić niezależną politykę w Europie, której wszystkie państwa, zwłaszcza państwa nowe, oparte na tej samej zasadzie, były wzajemnie, jedno za drugie, odpowiedzialne” — a równocześnie ten sam krytycyzm wobec polityki francuskiej. W ciągu dziewięciu lat ambasadorstwa w Pradze i Warszawie — tylko jedna wspólna konferencja ambasadorów francuskich w państwach Europy środkowej. Brak jakiegokolwiek instrukcji z Paryża. Gdy w chwili remilitaryzacji Nadrenii przez Hitlera Beck ofiarowuje Francji „pełną pomoc Polski przy wszelkich krokach przeciw Niemcom” — brak jakiegokolwiek odpowiedzi. Gdy Noël donosi do Paryża, że Rydz-Śmigły w związku ze swymi konferencjami paryskimi (sierpień 1936) gotów jest poświęcić jakiegokolwiek aluzji francuskich w tym kierunku — brak jakiegokolwiek reakcji francuskiej. „Francja w stanie bezsilny i braku decyzji znajduje stanowisko defetystyczne wobec wszystkiego, co się dzieje w Europie środkowej i wschodniej” — ta konkluzja Noëla daje trafny obraz jednej z przyczyn drugiej wojny światowej.

gi

## W EPOCE FATIMY

Na poważniejszą krytykę różne wybrki „Dziś i Jutro” nie zasługują, ale możemy się nimi ubawić. W numerze 29 tego pisma wydrukowano artykuł niezkiego Walentego Majdańskiego pt. „O styl życia w epoce Fatimy”. Autor zwalcza „wzawicę neomaltuzjanizmu” i uprzedza zarzuty: „Wiemy, co nam tu powiedzą: że, gdy nie będzie środków antykonceptyjnych, wzrosną choroby weneryczne. Ale my twierdzimy co innego: najwyższy już czas zażądać od mężczyzn poziomu. Polak, to nie symbol niedojdy, który musi się łajdaczyć”. W Polsce dzieci nienarodzone „bezkarnie wolno zatłuc każdemu”, „zabija się je milionami”. Jest to „gestapizm”, są to „korzenie instynktów zbrojeckich”, polski kodeks karny jest „dzieciobójczy”, lekarz, który pomaga, „nie jest człowiekiem”. „Bo chociaż nie pochodzimy od małpy, ale mnóstwo ludzi jest jeszcze na poziomie małp”. „Nie imponują nam zdychające świadomości z braku dzieci narody, jak Stany Zjednoczone”, lub Anglia, „gdzie rzeź dzieci nienarodzonych idzie w miliony”, wzorem dla nas powinny być Chiny, „które rosną w ludność już piąty tysiąc lat”.

Zacny pan Majdański... nie mylicie się Czytelnicy. A blask mistrza pada na uczniów.

## GRANAT ZACZEPNY CZY OBRONNY

W „Pokoleniu” (nr 2) jeden ze współpracowników surowo skrytykował K. Z. Skierskiego, iż tenże w swej noweli „Spowiedź” skandalicznie pomieszał ze sobą dwa rodzaje granatów: chodziło o granat obronny, a Skierski nazwał go zaczepnym. Wysłuchując tej pretensji, w pierwszej chwili jesteśmy skłonni uśmiechnąć się z powodu gorliwości młodego autora. Ale niestety. Bo nie ulega kwestii, że autentyczny w prozie autentycznej musi obowiązywać. Przeglą „Pokolenia” przytacza całą litanię wykroczeń autentystów przeciw autentyzmowi. Czasem są to szczegóły formalne, częściej poważne omyłki rzeczowe. Otóż: cóż byśmy powiedzieli o maryniście, nie odróżniającym rufy od dzioba, kabin od kajutu? Cóż byśmy powiedzieli o autorze noweli partyzanckiej, który by z realioz partyzantki stworzył parodię? Zagadnienie, czy kula karabinowa roztrzaska się szybko czy ją tylko przebija — wcale nie jest blabe dla pisarza, który o tym pisze. Mamy istotnie prawo wymagać, by autor, opisujący granat ręczny, rozróżniał jego rodzaje i był autentystą w tym znaczeniu, w jakim rzetelny stosunek do tematu i sztafażu cechuje każdego pisarza, odpowiedzialnego za słowo, które drukuje.

jascz

## JÓZEF SIERADZKI

## Demokracja angielska

Biblioteka Uniwersytetów Robotniczych. T. III. **Konstanty Grzybowski**, Demokracja angielska. Kraków. Spółdzielnia księgarska „Czytelnik”, 1946; str. 104 i 4 nl.

Zamiarem prof. Grzybowskiego jest przedstawić rozwój ustrojów demokratycznych w Anglii, Stanach Zjednoczonych A. P., Francji, ZSRR i walce demokracji z faszyzmem. Synteza tych wszystkich naukowych studiów ma być obraz ideologii demokracji oraz jej form współczesnych, a impuls dała zrodzona jeszcze w latach wojny a dziś wzmocniona „potrzeba analizy, dlaczego w niektórych społeczeństwach demokracja okazała się żywotną siłą, w innych padła pod naciskiem wrogich sił wewnętrznych, w innych jeszcze nie wytrzymała naporu z zewnątrz”.

Autor, który jest przedstawicielem nauki prawa ustrojowego, dociekania swe rozpoczyna od Anglii, przesuując je daleko poza samo tylko roztrząsanie przepisów prawa konstytucyjnego, a sięgając do socjologii i historii uwzględnia zjawiska gospodarcze, społeczne i kulturalne. W ten sposób tradycyjny historyk ustroju zmienia się w prawdziwie społecznego badacza o szerokiej skali zainteresowań i znanstwa, a wazniutka i jednostronna prawda, do której może doprowadzić jedna, wyłącznie uprawiana dyscyplina, zyskuje na pełni.

W jasno i konsekwentnie przeprowadzonym wykładzie daje wpróż autor rozwojowy zarys ustroju angielskiego, kładąc przy tym główny nacisk na przemiany i kształtowanie się demokracji i rozbudowę demokratycznych urzędów ustrojowych. Następnie poddaje analizie współczesny ustroj angielski, by na koniec — nagromadziwszy przesłanki — przejść do rozważań, w jakim kierunku zdąży Anglia i czy bieg historii prowadzi ją ku socjalizmowi.

Jeśli obraz ukazany przez K. Grzybowskiego jest przekonujący, zawdzięcza to autor bez wątpienia teorii historycznego materializmu, którą świadomie stosuje. „Demokracja angielska” jest jedną z nielicznych u nas pozycji, jakie można zaliczyć do szkoły marksistowskiej, chociaż jej autor jest raczej znawcą niż wyznawcą Marxa. Powiedzmy od razu — dobrym znawcą, który przypuszczalnie ma zastrzeżenia w stosunku do filozoficznego materializmu, ale widzi wielkie zalety materializmu historycznego, upatruje w nim ożywcze źródło badań historycznych i przyswaja sobie jego metodę.

„Rozwój ustroju Anglii w okresie od końca XVIII w. do roku 1932 — pisze prof. Grzybowski — jest typowym potwierdzeniem marksistowskiej analizy dziejów... Anglię wchodzi pod względem gospodarczym w okres przewagi przemysłu opartego na węglu i maszynie parowej i przez dłuższy okres czasu ma faktyczny monopol w tym zakresie. Punkt ciężkości gospodarczy przenosi się z produkcji rolnej na produkcję przemysłową, punkt ciężkości demograficzny z terenów południowych na środkowe i północne obszary węgla, punkt ciężkości społeczny z arystokracji ziemiańskiej na burżuazję przemysłową”.

Proces rozwoju demokratycznych urzędów ustrojowych w Anglii przedstawiony jest plastycznie z wyróżnieniem trzech okresów: okresu suwerenności parlamentu arystokratycznego (1689—1832) z hegemonią wielkiego i średniego ziemiaństwa i gabinetem, który był „niczym innym jak komitetem jednego z dwóch rządzących stronnictw, obu o arystokratycznej przewadze” — jak jego treść socjalną określa Grzybowski w duchu nauki Marxa i jego terminologią; okresu hegemonii parlamentu burżuazyjnego (1832—1880) otwartego reformą prawa wyborczego („Reform bill”), która odebrała arystokracji monopol przedstawicielstwa w Izbie Gmin, a dopiero o pokolenie później dodała do ordynacji wyboczej dalsze zmiany i tajność głosowania; okresu rozbudowy i przemian demokracji (1880—1926) aż do współczesnego stadium demokracji formalnej. Od niego zdąży Anglia do przebudowy całego układu, której celem jest wyjście z ram gospodarki kapitalistycznej.

Po takim historycznym zarysie demokracji ustroju przychodzi kolej na analizę ustroju współczesnego, którego specyficznym znamieniem jest jego „powolna, stopniowa i ewolucyjna geneza”. Ustrój ten sprowadza K. Grzybowski do kilku urzędów i zwyczajów konstytucyjnych. Są nimi: utrzymujący się system dwugłównych partii politycznych, instytucja lidera partii, plebiscytarna demokracja — która wynika z wyborów do Izby Gmin, będących so-



Konstanty Grzybowski

cjologicznie wyborami premiera — i konstytucyjna rola opozycji. Doszedłszy do rządów nie niszczy ona tego, co stworzyli jej przeciwnicy i poprzednicy.

Na ton „stopniowo i bez wstrząsów” ujawnionych przemian, przyrodzoną jakoby właściwość stosunków angielskich, położony jest szczególny nacisk. Bo z politycznym rozumem i bystrym sądem oraz z daleko posuniętym zmysłem krytycznym idzie w parze zakorzenione u autora upodobanie do tradycji i ewolucyjnego kształtowania się form ustrojowych, poglądów i przekonań. Nic to dziwnego u nas, stęsknionych do ciągłości organicznej, dzieci narodu, który nie rozwijał u siebie parlamentaryzmu w twardej walce z silną władzą królewską, bo próby jej tworzenia skończyły się niepowodzeniem; narodu, którego ustroj uległ wcześniej wpačeniu, a niepodległy byt państwowi urwał się wtedy, gdy Europa na drodze rewolucji pozbywała się feudalizmu; narodu, którego tok rozwojowy, zakłócony rozbiorami, przerywany był później co pokolenie, a wzrost form i narastanie pojęć publiczno-prawnych i obywatelskich nie mogły się odbywać normalnie.

Dlatego to autor zdaje się przeceniać treść swobod obywatelskich w Anglii, a zwłaszcza niezależność wymiaru sprawiedliwości, która, mimo form (i pozorów) prawnych i zwyczajowych, w swej socjalnej istocie nie odbiega od konstrukcji klasowej, o czym prof. Grzybowski dobrze wie i czemu daje wielokrotnie wyraz.

Uwieńczeniem całego wywodu jest rozdział końcowy, o treści jasno ujętej w tytule-zapytaniu: „Ku socjalizmowi?”, wypełniony rozważaniem, w jakim kierunku pójdzie dalszy rozwój spraw ustrojowych w Anglii po wielkim zwycięstwie wyborczym Labour Party. Za podstawowe cechy zarysowującego się układu uważa K. Grzybowski: wzmocnienie konfliktów socjalnych, plan gospodarczy, zmiany w technice ustawodawczej oraz decydujące przesunięcie w dotychczasowym stosunku większości do opozycji. „Labour Immediate Program” — natychmiastowy program Partii Pracy znalazł wyraz w nacjonalizacji Banku Anglii, po którym przychodzi kolej na górnictwo węglowe, przemysł metalurgiczny, produkcję elektryczności i środki komunikacji. Czy parlament wyłączy ze swej legislacyjnej regulowanie szczegółów drugorzędnych i o ile uprawnienia w tej dziedzinie przejdą na rząd; w jakim stopniu utrwalą się wpływ na system rządzenia naczelnych instancji partyjnych i Trade Unionów — to są sprawy przyszłości. Najistotniejsza nowość w stosunkach angielskich zdaje się polegać na tym,

że przeprowadzanie strukturalnych zmian przez gabinet Labour Party kładzie kres uświęconej zasadzie „balance’u „między większością a opozycją”. Obecna większość socjalistyczna nie ma wspólnych z opozycją podstawowych zasad ustroju gospodarczego i społecznego, „krytyka nie może się odnosić jedynie do praktycznych skutków posunięć większości, kwestionuje i kwestionować musi ich podstawowe założenia”. Krótko mówiąc: specyficzna angielska zasada oscylowania (balance) — „traci swój sens dotychczasowy, a nowy dotąd się nie skryształizował”.

Jak się skryształizuje? Mimo całą siłę tradycjonalizmu angielskiego i niezaprzeczną skłonność społeczeństwa do unikania gwałtownych zmian, charakter nadchodzącego procesu nie da się przesądzić. Zależy on od wielu czynników, a niektóre z nich nie mieszczą się w ramach brytyjskiej wspólnoty i działają na nią z zewnątrz. Nie łatwo przewidzieć, jaki kierunek socjalizmu weźmie górę w masach robotniczych Anglii, w szczególności zaś, które grupy w łonie Partii Pracy zdobędą decydujący wpływ na jej doktrynę. Przewidywanie jest tym trudniejsze, że kolonialny system Imperium Brytyjskiego stanowi czynnik heterogeniczny o znaczeniu nader doniosłym, bodaj rozstrzygającym. Może on przedłużyć lub skrócić, utrudnić lub ułatwić proces przemian, w każdym zaś razie musi go skomplikować.

Na wszelki wypadek byłoby rzeczą nieprzezoną i pochopną uważać za coś więcej niż za domysł przepowiednię, że przemiany te będą ewolucją społeczeństwa ku socjalizmowi, a nie procesem rewolucyjnym. Ewolucyjny przebieg jest jednym z możliwych i prawdopodobnych wariantów, wszelako nie jedynym, zarówno dla Anglii jak każdego innego organizmu gospodarczo-politycznego, który musi odbyć drogę od kapitalizmu do socjalizmu.

Książka prof. Grzybowskiego ma wielką wartość, nie tylko dlatego, że porządkuje, wyjaśnia i ustala, lecz dzięki problematyce, którą otwiera. Suwerennej kompetencji w rozpatrywaniu przedmiotu towarzyszą zalety metodologiczne i świeżość zaczerpnięta ze szkoły materialistycznego pojmowania dziejów. Stąd też rodzą się twórcze impulsy do przeprowadzania porównań, analogii i różnic ze stosunkami polskimi, oraz rozsiane w książce interesujące uwagi o naszym ustroju w przeszłości, które należałoby pogłębić.

„Demokracja angielska” nie tylko wypełnia dotkliwą lukę w naszej literaturze politycznej, lecz wzbogaca ją o twórczą pozycję naukową. Stanowi ona pierwszą część cyklu i dopiero całość da miarodajny aspekt i probierz dla oceny poszczególnych części syntetycznego dzieła o współczesnej demokracji, jej rodowidzie, ideologii i tendencjach przyszłego rozwoju.

Józef Sieradzki

## KOMUNIKATY

Osoby, które posiadają odpisy zaginionych w czasie wojny sztuk J. Szaniawskiego „Krysią”, „Fortepian” i „Lekko-duch”, zechcą je udostępnić autorowi. Adres: Jerzy Szaniawski, Kraków, Krupnicza 22.

Prosimy uczestników i świadków powstania krakowskiego z 6 listopada 1923 r. o nadsyłanie wspomnień i materiałów historycznych (ulotki, relacje, listy, fotografie, wycinki z prasy) dotyczących przebiegu powstania. Materiały należy nadsyłać na adres: Redakcja „Echo Krakowa”, Kraków, Wielopole 1. Po wysłaniu zostaną na żądanie zwrócone właścicielowi.

Kupię egzemplarze „Tygodnika Ilustrowanego” z roku 1938/39 z odcinkiem mojej powieści „Krzysztof i Marianna” i egzemplarze „Bluszczu” z r. 1938 z odcinkiem mojej noweli „Amy i Jo”. — Zgłoszenia: Jadwiga Zylińska, redakcja „Odrodzenia”, Kraków, Basztowa 15 m. 9.

## PARTIA KATOLIKÓW?

„Sprawa ogólnonarodowa traci tym więcej, im dłużej przeciąga się brak decyzji co do przedstawicielstwa politycznego katolików” — pisze Witold Bieńkowski w „Dziś i Jutro”. Obawiać się można, że po żądaniu „przedstawicielstwa politycznego katolików” pojawi się teza, iż tylko jedno stronnictwo reprezentuje katolików, a potem teza, iż kto jest członkiem innego stronnictwa, nie jest katolikiem. Pamiętamy to dobrze z czasów tzw. „Stronnictwa Narodowego”, kiedy — w dniach haniebnych ataków na pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej — podobnie wołano, że każdy Polak jest z nimi. Nie jest w interesie katolicyzmu, by jedno stronnictwo w Polsce miało na jego monopol. I nie jest to zgodne ze stanowiskiem katolicyzmu wobec zagadnień politycznych. Wielki papież Pius XI mówił: „Kościół katolicki nie wiąże się z żadną formą rządu ściślej niż z innymi, byleby prawa boże i sumienia chrześcijańskiego były zachowane”. Na tle obojętności wobec formy rządów nie można stworzyć stronnictwa politycznego. Można stworzyć stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, reprezentujące katolików o pewnych określonych poglądach na zagadnienia społeczne, ale nie może to i nie powinno znaczyć, że jest to jedyne stronnictwo mające prawo reprezentować katolicyzm — jeśli Kościół w Polsce nie chce się zdegradować do roli jednego z pionków na szachownicy politycznej.

## SPRAWOZDAWCA TEATRALNY

Krakowskiego sprawozdawcę teatralnego „Gazety Ludowej” zawodzi wzrok i pamięć. Zawodzi go wzrok, gdy twierdzi, że z konferencji, na której przedstawiono repertuar teatrów krakowskich na rok 1946—1947, wyszło dwóch przedstawicieli „Tygodnika Powszechnego” — wyszedł jeden, a trzech zostało, uważając widocznie, że ich kolega redakcyjny szybciej działa, niż myśli. Zawodzi go pamięć (nie chciałbym przypuszczać, że pierwszy raz na tej konferencji słyszał o Świrszczyńskiej, Szaniawskim i Swinarskim i wziął ich za niebezpiecznych marksistów), skoro twierdzi, że przewidywany repertuar „Starego Teatru” zajmują się jedynie „sprawami społecznymi”, po czym wymienia „Orfeusza” Świrszczyńskiej, „Żeglarza” Szaniawskiego i Artura Marię Swinarskiego. „Problem społeczny” w „Orfeuszu”, „Żeglarzu” i w twórczości Swinarskiego — to coś jak legendarny słon i sprawa polska. A może sprawozdawca „Gazety Ludowej” chciał dostarczyć tematu dla „Teatru Siedmiu Kotów” Eilego? Dyrektor teatrów krakowskich, Juliusz Osterwa, jako wróg Kościoła i Artur Maria Swinarski jako pisarz społeczny — czyż są lepsze tematy dla piosenki w artystycznym teatrze-kabarecie?

Sprawozdawca „pisma dla wszystkich” zatytułował swoje „sprawozdanie” groźnym tytułem „Teatr bez uśmiechu”: oto ponurzy marksista z uczniem samego Stalina, Osterwą, na czele, owładnięli scenami krakowskimi i będą nam wykładali ze sceny „Manifest komunistyczny”. — Spraparują nam komunistycznie także zapowiedziane sztuki Bliźnińskiego i Fredry, na których nie będzie wolno — pod karą wywiezienia na Sybir — śmiać się. Sprawozdawca ten wzdycha do dni, gdy podstawą repertuaru był „Król” lub „Ich dwóch”, tak miłe wspomnienie z repertuaru scen polskich z okresu okupacji. Odwołuje się — demokrata — do „widza, który ma za swoje pieniądze prawo”. Szkoda, że nie widział kasy teatralnej. Przekonałby się, że „Świętoszek” pobіл kasowo „Ich dwóch”.

## SKANDAL

Władze bezpieczeństwa w miastach polskich nie zawsze lubią czytać ustawy. Gdyby je czytały, przypomniłyby sobie, że istnieje ustawa, która się nazywa „prawo o wykroczeniach”, że w tej ustawie jest art. 28 i art. 30, iż że według tych przepisów pijak, który się zachowuje hałaśliwie lub gorsząco na ulicy, może się na okres do dwóch miesięcy znaleźć w lokalu, gdzie nie dają wódki i gdzie brak milego towarzystwa. Inaczej mówiąc: bezkarności pijaków na ulicach jest skandalem kulturalnym, a olimpijska obojętność Milicji Obywatelskiej wobec tego jest skandalem administracyjnym.

gi



BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

# Ghetto w Chicago

Londyn, we wrześniu 1946 r.

Tak się złożyło, że wpadły mi do rąk trzy wydawnictwa, z trzech różnych stron świata, omawiające życie ludzi, wobec których biały człowiek najbardziej może zawinił.

Pierwsze, to komplet propagandowych broszur wydanych przez angielskie ministerstwo kolonii. Nie ma tu jednak tego, o czym przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, a mianowicie: co i w jakich ilościach wysyłają kolonie Anglii i co w zamian za to otrzymują, jaka jest dysproporcja między stopą życiową rządzących a rządzonych. Nie znajduję cyfr ani statystyk, są natomiast zdjęcia ze zjazdu afrykańskich królików — dobrze wyglądają, mają nawet korony większe od papieskiej tiary i spójnienie z tych, co przestrzegają człowieka przed zetknięciem w ciemnej, bezludnej ulicy. Są tam też zdjęcia tańczących dziewcząt i chłopców, ale nie można z tego wnioskować, że wszyscy mieszkańcy Afryki mają czas i ochotę na taniec. Jest i zdjęcie matki w łóżku z niemowlęciem przy piersi, co oznacza, że chociaż jedna z tamtejszych kobiet odbyła poród w możliwie ludzkich warunkach. Mieszkańców kolonii widzi się z przepaskami na biodrach, natomiast królówie są odziani bogato, w nieskończoną ilość szat — czy dlatego, że robotnicy nie lubią się ubierać?

Przejrzawszy broszury, z tym większym zaciekawieniem sięgnąłem po wielką, bo 800 stron liczącą książkę „Black Metropolis”, która także porusza „czarny temat”. Autor pisze o afrykańskich Murzynach, wywiezionych kiedyś na roboty do Ameryki, którym zniesienie niewolnictwa przyniosło „wolność”, ale nie rozwiązało po ludzku zagadnienia ich bytu i nie dało miejsca na świecie.

Dawni indyjscy mieszkańcy okolic Chicago mawiali, że pierwszy biały człowiek, który się tam osiedlił, był czarny. Tym zaczyna się książka. Czytamy tu też o czarnej kobiecie, która wskutek pomyłki bagażowego znalazła się w wagonie dla białych, do którego przepisy surowo wzbraniają wstępu Czarnym. Gdy się zorientowała w sytuacji, bagażowego już nie było, aby więc nie zwracać na siebie uwagi zdecydowała się zostać. Na widok konduktora zdrewniała z przerażenia, okazało się jednak, że był to ludzki człowiek — nie wyrzucił jej z wagonu, tylko zagadnął: „Pani jest może Żydówką?” Opo-wiadając o tym zdarzeniu, czarna kobieta dodała: „Ucałowałabym go za to z wdzięczności”. Za to, że wziął ją za Żydówkę? — A więc są na świecie ludzie, którym nawet los Żydów wydaje się gojny zazdrości?

Książka „Black Metropolis” napisana jest uczciwie i poważnie. Jest to historia osiedlenia się Murzynów w Chicago, w którym dziś stanowią 10% ludności, a które jest największym skupiskiem Czarnych w Ameryce. Murzyńska część miasta uważają Czarni za swoją stolicę. Napływ Murzynów do Chicago zaczął się z górą 100 lat temu, gdy z powodu ciężkich warunków postanowili uciec z południowych plantacji bawełny do Kanady. Chicago, które leżało na drodze ich wędrówki, stało się jednym z głównych ośrodków tego nielegalnego ruchu „wolnościowego”. Ponieważ mieszkańcy Chicago tolerancyjnie odnosili się do przybywców, ze względu na brak rąk robotniczych, część Murzynów tam się osiedliła.

W ucieczce dopomagała też Czarnym Północ (przemysłowa) prowadząca kampanię za zniesieniem niewolnictwa. Wysyłała ona swych agentów, którzy werbowali ludzi do pracy, dając im odpowiednio informacje, dokąd mają uciekać, i pieniądze na drogę. Prawo ścigało takich agentów — udzielający uchodźcom przytułku podlegali karze więzienia (6 miesięcy) i grzywnie w wysokości 1000 dolarów. Zeznanie agenta tropiącego uciekających było wystarczającym dla sędziego dowodem, że dany człowiek jest niewolnikiem. Za orzeczenie sędziego na korzyść właściciela płaciło się (ustawowo) 10 dolarów, za orzeczenie negatywne tylko 5 dolarów — sumienie sędziego

było więc wystawione na ciężką, bo 5-dolarową próbę.

Po zniesieniu niewolnictwa życie Murzynów niewiele zmieniło się na lepsze. Konkurencja obcokrajowców utrudniała im zdobycie stałej pracy. Niewykwalifikowane masy emigrantów, Polaków, Irlandczyków, Włochów, wykonywujące czarną robotę, bały się, że Czarni podkopią ich egzystencję.

Już w tym czasie zaczęła się propaganda uświadamiania klasowego, walka o poprawę bytu i wolność polityczną, walka z niewolnictwem.

Po uzyskaniu wolności Czarni pozostawieni samym sobie, bez pieniędzy i środków do życia, siłą i rozmaitymi sztuczkami zatrzymywani przez dawnych swych właścicieli, ciężko musieli walczyć o byt. Gdy Irlandczycy, walcząc o „supremację” białych, demonstrowali przeciw nim, Czarni stanowili w Chicago zaledwie 1% ludności. Ale mimo wrogiego nastawienia zgłaszali się do pracy tam, gdzie byli zatrudnieni emigranci jako stróża, zamiatacze, woźnice czy służba domowa. Czarną kartą w historii Murzynów był okres, w którym zmuszeni koniecznością godzili się odgrywać rolę łamistrajków. Zdarzało się nieraz, że w tym samym dniu, kiedy na ulicach Chicago postępowała inteligencja i robotnicy demonstrowali przeciw uciskowi Murzynów, inne grupy manifestowały przeciw nim, paląc na stosie symboliczną kukłę Murzyna-łamistrajka.

Ten brak solidarności trudno jest potępić, jeśli zważymy, że Czarni z trudem musieli sobie zdobywać jakieś prawa ludzkie. W walce klasowej mogli wziąć udział dopiero wtedy, gdy zaczęli pracować. Nie mniej winy ponoszą biali robotnicy, którzy nie chcieli ich do tej pracy dopuścić i emigranci wykonywujący ją za byle jaką płacę. Poza tym związki zawodowe były dla nich zamknięte, co uniemożliwiało im zdobycie zatrudnienia. Gdy jako łamistrajków przyjęto ich do pracy, nowoutworzone związki zawodowe zmieniły swój stosunek do czarnego robotnika i stały się jedyną ostoją Czarnych. Czarni zaś nauczyli się solidarności i byli najzacieśnionymi i najczulszymi przyjaciółmi.

Nie dziwi nas wcale, że okres przedzwiązkowy był okresem kompromisów: niedrażnienia białych, którzy rządzą, niezadania praw wyborczych i niewalczania przeciw ograniczeniu ich swobody. Hasłem Czarnych było: pracować choćby najciężiej i oszczędzać, a za oszczędzone pieniądze kupić ziemię w nadziei, że to pozwoli im wywalczyć prawa polityczne. Na rolniczym Południu było to nawet na rękę bogatym właścicielom ziemskim, którzy chcieli zastąpić niewolnictwo inną jego formą (znaną w Europie dzisiejszej i najbardziej rozpowszechnioną we Włoszech), formą dzierżawy. Dzierżawca obowiązany jest oddawać właścicielowi połowę swych zbiorów, w razie jednak nieurodzaju czy spadku cen, nie mogąc wyżyć z połowy, która mu zostaje, zmuszony jest zaciągnąć dług i dopóty nie może odejść, dopóki go nie spłaci.

Zarzucono też Murzynom, prócz niesolidarności w pracy, uprawianie prostytucji. Dzielnica murzyńska „Black Belt” sąsiadowała z „Red Light”, dzielnicą oficjalnych domów publicznych. Przykro o tym mówić, ale tak było — według danych statystycznych wśród uprawiających nierząd większość rekrutowała się spośród czarnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Dzielnica „Czerwonych lamp” została wyodrębniona z centrum Chicago dopiero w 1912 r., ale jak podają autorzy książki, zniesienie reglamentowanej prostytucji nie wyplenilo tego zła ze społeczeństwa murzyńskiego.

Napływ Europejczyków w latach 1890—1910 był taką samą klęską dla Czarnych, jaką niegdyś było ich osiedlenie się dla emigrantów: konkurencją na rynku pracy i zagrożeniem bytu. W owym czasie Murzyni mieli jakby monopol na pracę dostępną dla niewykwalifikowanych przybywców. Ci zaś od razu zaczęli walkę z Czarnymi wysuwając jako argu-

ment wyższość białej rasy nad czarną. A w walce tej byli bardziej zacięci i konsekwentni niż ktokolwiek w Ameryce. Ciężki to był okres dla Murzynów — odetchnęli dopiero w latach 1914—1918, gdy równocześnie z zapotrzebowaniem przemysłu na siły robocze ustał napływ elementu emigracyjnego.

Południowe stany rolnicze, skąd Murzyni wyjeżdżali masowo zgłaszając się do przemysłu, były tym przerażone i zaniepokojone. Toteż szukały najrozmaitszych sposobów, aby ten ruch powstrzymać: kary pieniężne na werbujących do pracy, wysokie opłaty za pozwolenie na werunek (do 25 000 dol.). Prasa zwalczająca dotychczas Murzynów zaczęła ich gwałtownie „wybielać” i potępiać prawo lynchu, obiecując im więcej szkół, lepsze traktowanie i wyższą płacę. Sytuacja Czarnych gruntownie się zmieniła; teraz zapraszano ich do pracy, z której przepędzano ich przedtem przy byle okazji. Gazety murzyńskie, orientujące się dobrze, że ta nagła zmiana to nie sentyment, pisały: „Gdy w grę wchodzi dolary, przesady białych znikają”. Przywódcy jednak nalegali, aby nie przegapić tej jedynej okazji dającej Czarnym możliwość przejścia z poniżającej pracy, jaką dotąd wykonywali, na stanowiska kwalifikowanych robotników w przemyśle.

W tym czasie dzielnica murzyńska zaczęła się rozrastać i to szybko, mimo że w ciągu 4 lat przeciwnicy ich podłożyli 58 bomb pod domy nabyte czy wynajęte przez Czarnych. Murzyni kupowali co się dało w opławy przetrwać przez nich dzielnicach: kościoły, bożnice, parki, szkoły, a potem przerabiali je na swój użytek. Ta pomyslna koniunktura nie trwała długo — znów zaczął się lynch i tępiecie Murzynów. Gdy nie byli już potrzebni, miano im za złe, że żyją, bezrobotni nienawidzili ich, nawet wracający z frontu Murzyni drażnili swym politycznym i obywatelskim uświadczeniem.

W czasie pogromu w 1919 r. padło 38 Murzynów, a ponad 500 zostało rannych. Sprawcami tego pogromu byli przede wszystkim Irlandczycy. Murzyni bronili się zaciekle, zrezygnowali już dawno z polityki uległości, nazywanej teraz przez nich polityką „Wuja Toma”. — „Wuj Tom” to dla amerykańskich Murzynów ironiczne określenie Czarnego, zabiegającego o łaski białych. W odpowiedzi na pogrom Czarni puścili z dymem domy emigrantów irlandzkich. W końcu wyszli z walki zwycięsko i udalo im się przekonać białych, że jeżeli ich potrzebowano, nadal tu pozostaną. I znów sytuacja Czarnych zmieniła się na lepsze. — W bankach mają już 40 000 000 dolarów oszczędności, mają własne domy, własnych lekarzy, nauczycieli i polityków. Odnieśli nawet i to zwycięstwo, że Czarni pisze się z dużej litery. Jednego tylko nie mogą uzyskać, aby wreszcie zapomniano o kolorze ich skóry. O ile zajmują odpowiedzialne stanowiska, to wybierają ich Czarni dla Czarnych. Kiedy wybiera ich będą biali dla białych? — Czy nie są równymi i takimi samymi ludźmi, pełnoprawnymi obywatelami?

Gdy przychodzi ekonomiczny kryzys w Ameryce, pierwsze gromy spadają na nich. Banki, które skrachowały, operowały właśnie ich oszczędnościami, fabrykanci ograniczając produkcję zwalniali przede wszystkim Czarnych.

Bogusław Kuczyński

Wtedy drobni fabrykanci i kupcy murzyńscy rzucili hasło: Swoją drogę po swoje. Nie rozwiązało to jednak sprawy bezrobocia wieloletniej rzeszy zwolnionej z pracy w przemyśle. Tak już było zawsze, że Murzynów przyjmowano na szarym końcu, a zwalniano pierwszych.

Znana tak dobrze w krajach europejskich samorzutna walka robotników z eksmisjami bezrobotnych przybrała tu charakter masowy. Młodzi, sami bezdomni i nocujący w ogrodach publicznych, organizowali grupy obrony. Kierowały nimi komitety bezrobotnych. Gdy zbliżali się biali policjanci, czarne kobiety wołały na dzieci: „Zawłajcie Czerwonych”. — Komitety te były rzeczywiście „czerwone”, choć członkami ich byli biali i czarni bezrobotni. Czarny robotnik rozumiał wtedy, co znaczy walka klas. Gdy oddziały młodzieży nie mogły same podołać zadaniu obrony eksmitowanych, zastąpiła je akcja zbiorowa, kierowana przez robotników. Ciało trzech zabitych w czasie jednej z takich demonstracji wystawiono na widok publiczny. Honorową wartę pełnili Biali i Czarni. Pogrzeb ofiar był jedną wielką manifestacją solidarności robotników, a trzej polegli stali się symbolem ich walki o ludzkie prawa.

24 marca 1940 roku — w sto lat od przybycia do Chicago Murzynów, a w 80 od zniesienia niewolnictwa — przeprowadzono tu spis ludności. Z danych statystycznych tego spisu można się zorientować, jak wygląda życie najszcześliwszej i najbardziej uprzywilejowanej awangardy murzyńskiej w porównaniu z Czarnymi z okręgów rolniczych, którzy do dziś żyją w na pół niewolniczym stanie: Śmiertelność i choroby: dzieci: przed ukończeniem pierwszego roku życia 3 Czarne na 2 Białe; dorośli, którzy giną w awanturze lub zabici przez morderców, 6 Czarnych na 1 Białego; gruźlica: 5 razy częściej u Czarnych niż u Białych, tak samo śmiertelność spowodowana gruźlicą czy innymi chorobami; wypadki syfilisu: 25 razy częściej niż u Białych (75 na 1 000). Praca: Co czwarci Murzyni byli bezrobotni. Stanowią wprawdzie w Chicago 8% ludności, ale pracuje ich w urzędach tylko 2%. Stanowią 3% kwalifikowanych robotników, na w pół kwalifikowanych 0%, niewykwalifikowanych 21%. Jako służba domowa 34% mężczyzn, 56% kobiet, z tym, że w rubryce praczek piorących po domach jest ich 60%. W rubryce tragarze: 95% Murzynów. Brudna i źle płatna praca w garażach: 58%. W przemyśle mężczyźni — 40% (najcięższa i najbrudniejsza praca — 38% przypada tu na Polaków, reszta na Włochów). Pracę ciężką wykonywało dwa razy więcej kobiet czarnych niż białych, z tym, że kobiety białe rekrutowały się spośród emigrantów, którzy we wszystkich rubrykach figurują tuż obok Czarnych.

Dochody: 20% Murzynów miało przeciętny dochód poniżej branego pod uwagę „minimum” — („poniżej” nie oznacza wcale, że do tego minimum jest blisko — bezrobotni też są zamieszczani w tej rubryce). W rubryce jako tako zarabiających i żyjących bardzo skromnie jest 37% Czarnych, wśród trochę lepiej sytuowanych jest ich 26%. Wśród bogatych i naprawdę dobrze sytuowanych prawie ich nie ma.

Szkoła krytyków

RYBA KTÓRA POBLADŁA

Poeta miał zamiar powiedzieć, że zdrowe dziewczęta wiejskie nie przestają się śmiać. Takim swój zamiar wyraża obrazem:

A one dziewczki, jako są bestyje  
Zawsze zbierze i kochają żarty,  
Wzdyć jeszcze bardziej gną spalone szyje  
Z wielkiego śmiechu, co jak cap uparty  
Trzyma się warg ich i w kątach się kryje.

Poeta miał zamiar powiedzieć, że starsza osoba lekko się kicczy prowadzila. Takim swój zamiar wyraża obrazem:

Stara pani — różnie-ć o niej pieją,  
Że to niby z doktorem... z Kurzeją  
Nawet pono-ć, wiesz, co był pisarzem —  
Miała je tam pocieszać nadzieją;  
Coś je nawet wzięła za cmentarzem  
W uścisk i wzięła własnym  
ekwipażem...

Poeta ma zamiar opisać pochmurny dzień wiejski. Takim swój zamiar wyraża obrazem:

Wiatr się rozlał i wierzby piosenki  
Rozpoczęły melodyjnie dyszeć,  
A smutne, a tak rzewne, ach! że  
nie opiszę-ć...

Poeta przedstawia wyobrażenia wiejskiego człowieka o świecie. Brzmia one:

Wiedział, że gwiazdy posiał gęstym  
makiem  
Pan Bóg na niebie, że ziemia to pieczęć,  
Co się na różnie obraca, że ptakiem  
Słoń jest — chciał jeszcze w szale swych  
docieczeć  
Czy słycać, jak rośnie trawa,  
ubezpieczeń.

Poeta opowiada, jakie to przypiewki bywają śpiewane na wiejskich weselach. Tak to wygląda:

„Zdejmij z głowy wianuszek rucianny,  
Niech ci swaty obetną warkoczki!  
Już nie naszył ty kwiatku dziewanny,  
Już nie naszył! Otrzyj ciemne oczki!”  
To wszyscy my-ci we łzach, jak jakie  
wymoczeki.

Ta sama weselna śpiewaczka gdy przychodzi jej wiec opuścić:

...trzęsła się, pobladła,  
Jak ta ryba, co ją schwyci wędką.

Cóż to za cytaty? Któryż to poeta? Wojciech Bąk zwątpił ostatnio w sztukę poetycką Kasprowicza („Życie Literackie” nr 16), ale nie zwątpił w to, że Kasprowicze jest wielkim poetą; jpnatomiast („Odrodzenie” nr. 95) trochę się dziwi, że „dwudziesta rocznica śmierci Kasprowicza nie zaznaczyła się w naszej krytyce ani jednym żywym słowem”. Wzywa przeto, by nareszcie ocenić dzieło Kasprowicza w sposób obiektywny.

Nielatwe to zadanie. Nielatwe, bo wszystkie powyższe cytaty pochodzą z poematów Kasprowicza. I proszę nie sądzić, że są to jakieś potknięcia wyjątkowe, wydłużane mozolnie z całego jego dorobku. To jedynie jakaś jedna dziesiąta cytat wypisanych z jednego jedynego tomu Dzieł w wydaniu Kocalskowskiego. („Z chłopskiego zagonu”).

O czym te cytaty świadczą? O tym, że chyba nikt z monografistów i wielbicieli Kasprowicza nie czytał go do kładań, z ołówkiem w rękę. Kiedy się znajda cierpliwi, którzy go tak przeczytają, znajdzie się również śmiełek, który na podstawie takiej lektury napisze jego monografię.

Szkoła krytyków poprzestaje na cytatach. Zaplakane wymoczeki, cap na ustach, ekwipaż za cmentarzem, pobladła rybka, wierzby, co dyszą melodyjnie.

Kjw

## BIBLIOTECZKA „MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ”

1. Tadeusz Kotarbiński:  
Zasady dobrej roboty
2. Józef Chałasiński:  
Socjologiczne założenia reformy wychowania
3. Julian Brun-Brunowicz:  
Z dziejów współczesnej idei narodowej
4. Stanisław Ossowski:  
Analiza socjologiczna pojęcia ojczyzny

Każdy tom w esletycznej okładce do nabycia we wszystkich księgarniach — 20.— zł.

JANINA PRAGERÓWNA

## PAMIĘTNIK Z MARGINESU WOJNY

Humorystyczna książka o ostatniej wojnie — to paradoksalne zjawisko. „Czy ten cały obóz nie jest bałem maskowym?” — pyta autor „Jeziora Bodeńskiego” \*).

Powieść przedstawia środowisko całkiem szczególne. Kolekcję przedstawicieli trzech języków, narodowości i krzyżowań — zebranych sztucznie i niewesołym faktem w jedno miejsce przymusowego, ograniczonego przebywania wspólnego w warunkach nie najlepszych fizycznie, ale też nie najgorszych, pod władzą psychiczną próżnowania, masy pustego czasu czekania — na wynik tragicznej historii, w której biorą udział wszyscy — prócz nich. Jest to obóz dla internowanych obcokrajowców cywilnych w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. Mężczyźni, kobiety i dzieci wyrzucone na martwy brzeg mielizny psychicznej. Sytuacja wytworzyła deprawujące „uprzywilejowanie”, doprowadza do zdziwienia i dzieciennienia.

Treść powieści, mającej formę narracji pamiętnikarskiej w pierwszej osobie jest następująca: bohater, Polak pochodzenia francuskiego po jakimś prapradziadku, z nudów pragnie nawiązać flirt z młodą Francuzką Suzanne. Okazuje się, że młoda osoba najbardziej interesuje się faktem egzotycznym i wzruszającym — polskości bohatera — i dla zbliżenia z nią młodzieniec wo postanawia wykorzystać to zainteresowanie. Nie przypuszcza oczywiście, że sprawy będą brane bardzo poważnie i dlatego zgadza się odgrywać rolę Polaka wedle najbardziej utartego w pojęciu zagranicy szablonu. Oczywiście jest to anachronizm psychiczny, gdyż wypada mu grać rolę mniej więcej z roku 1830. Nie byłoby w tym nic tragicznego, gdyż młoda kobieta podobna się jemu, a on jej — gdyby nie to, że zachodzi komplikacja. Suzanne na serio wzięła jego markowane odpowiednio do „zapotrzebowania” zwierzenia patriotyczne — a on sam się zagalopował aż do bliskości zdarzenia swoich najintymniejszych uczuć względem ojczyzny. Jest z tego bardzo niezadowolony i winę przypisuje niedyskrecji Suzanne. Zrażony, pragnie się wycofać z nieprzyjemnej sytuacji, jej egzaltowane współczucie odczuwa jako szokującą poufałość — lecz sprawa przyjęła zbyt poważny obrót: Suzanne na serio pokochała go jako rycerza narodowego w stylu Konopnickiej. Wprowadziwszy ją w błąd, postanawia uwolnić się od nieznosnego dla niego położenia i ukazać jej dobitnie pomyłkę w ocenie jego osoby. Kapryśny i niecierpliwy obraża ją ku powstaniu zgorzaniu. Najjaśniejszej przejrzała motywy jego postępowania i charakter młoda, naturalna dziewczyna półangielskiego pochodzenia — Janka Birmin. Z nią też dochodzi do porozumienia i prawdziwego koleżeństwa. Świadcami tego wszystkiego są inne polsko-francusko-angielskie istoty. Z nich najwyższe zainteresowanie okazują mu francuski poeta Vilbert, zachwycający się Polską i jej poezją romantyczną, oraz angielski intelektualista Mac Kinley. Ci dwaj widzą w nim również Polaka wedle swoich pojęć o tym, jaki Polak być powinien — i z życzliwością pragną mu dać możliwość wypowiedzenia tej, jak się spodziewają, romantycznej i wzruszającej polskości przed forum innych narodowości uwięzionych w obozie. W tym celu aranżują odczyt, na którym bohater postanawia spłatać psikusa i pokazać całemu audytorium niedekoratywną prawdę psychiczną współczesnej psyche konkretnego Polaka. A nie „w ogóle” Polaka, którym go pragną widzieć w swoim poczuciu przewoitości. Powieść kończy się tym efektywnym skandalem, jaki urządza smarkaczowaty prelegent, by się uwolnić od nacisku cudzych fałszywych pojęć o sobie.

Głównym problemem, który zapragnął autor rozwiązywać w tym czasie i w tym miejscu — wojna, obóz — jest sprawa obrony swojej prawdy psychicznej przed cudzą i własną opinią o tym, kim się jest, czy kim się powinno być. Między tymi dwoma lustrami: jak siebie widzi bohater i jak go widzą inni — toczy się cała powieść. Autor-narrator zajmuje też w powieści stanowisko typowo „spektatorskie” — jakby powiedział jeszcze Brzozowski. (A warto tu zaznaczyć, że cała ta problematyka zdradza bardzo wiele pokrewieństw z epoką modernizmu i jest wcale nie nowa — wbrew współczesności formy. Typowe zagadnienia psychologii, zatracone o metafizykę. Bohater ciągle pyta: „Czy ja jestem naprawdę?”). W związku z tym występuje specjalna właściwość opisu: „psychologiczna fotografia” gestów, z analizowaniem ich związku z treścią wewnętrzną — a nie plastyka sama dla siebie. Nie fikcja — tylko interpretacja człowieka. (Tutaj zanotujemy podobieństwo z metodą powieściopisarską Irzykowskiego w „Pałubie”. Teatr, widowisko i aktorstwo — to pojęcia i stanowiska dominujące w tej książce. Z charakterliwą wrażliwością minionej epoki konstruuje autor całą teorię, wedle której wszelkie zachowanie jest aktorstwem. Obserwacja jego tutaj nie pozbawiona są zresztą dużej bystrości. Zachowanie tzw. przyzwoite polega na spełnianiu cudzych oczekiwań co do własnej osoby, na przystosowaniu, które Dygat nazywa maską. „Aktorstwo — to altera natura” powiada — tylko że przystosowanie do oczekiwań we własnym otoczeniu kraju, jest łatwe, tak że się wydaje naturalne — w otoczeniu zaś obcym jest bardziej uciążliwe i przez to zwracające uwagę.

Aktorem na wskroś jest bohater opowiadania. Często kabotynem. Ciągłe ogląda swoje zachowanie z zewnątrz, jak nieznosne lustro. „Ta kobieta mnie kocha. Mogę odzyskać pewność siebie. Owszem, czuję ją, ale widzę z boku, że mi w niej trochę nie do twarzy”.

Bohater, posiadający tak wiele cech dzieciennienia (charakterystyczne to upodobanie do „miedojrzałości” dzieli Dygat z pewnym nurtem współczesnej literatury — Gombrowicz, Schulz), jest przedstawiony w świetle pomniejszającym, z punktu widzenia „zerowego”. Stanowisko takie umotywowane jest obawą przed zalewem egzaltacji. Jest to znów swowista, wspólna z innymi współczesnymi pisarzami maniera. Nie jest bohater wreszcie w intencjach autora takim niskim indywiduum — jednak prezentowany jest stale jako błazen i deprecjonowany. Już sam dobór leksykalny określa jest bardzo wymowny: „niezdarny” (najczęściej się powtarza), „pajac”, „bez pokrycia”, „ślamazarny”, „glupawy”, „wzbudający żal”. Cechują go „niedowład”, „niemożność”, „nieuactwo”, „dezaprobata samego siebie”, „leniwa pustka i niezdecydowanie”, poza nonszalancją i ignorancją, brak dyscypliny wewnętrznej i brak hamulców, gdy popada w swoje aktorstwo. Jego program „buntu” nie wykracza z tych kategorii. Kiedy pragnie być wolny od cudzej opinii o nim, jej ucisku na jego życie psychiczne — jak wyobraża sobie tę wolność? „Nie ma wolności, jak tylko wolność własnego grymasu”. Kapryśny i grymas — to stanowisko, reprezentowane przez narratora — no i książkę. Styl niepoważny i często dziecięciniały (bezsensowne dygresje, celowa rozwlekłość) — są jej cechą najbardziej rzucającą się w oczy. O „kpinie, drwinie i humorze” pisano już u nas zresztą jako o szerszym zjawisku — nie będę więc tu tego powtarzać. Niemniej jednak dające się tu zauważyć, a w jeszcze większej mierze charakterystyczne dla innych utworów współczesnych „oswajanie” czytelnika z bohaterami godnymi pogardy, nonsensologia i robienie z czytelnika głupka mają też swoje wcale niepożądane znaczenie kulturalno-wychowawcze. Przedstawianie jest bowiem potajemnym i pokątnym sposobem zyskiwania aprobaty moralnej czytelnika, który się ani spostrzeże, kiedy się oswoi i będzie uważał za naturalne to wszystko, co mu tak dowcipnie podają. W tym wypadku nawet trudno byłoby „wyinterpretować” sprawę subtelnością artystyczną, przemilczaną ironią. Tu wyraźna jest solidarność — i odpowiedzialność autora za swego bohatera.



Stanisław Dygat

A bohater u Dygata nieraz przekracza granice dozwolone dla blażenia. Np. takie gry wyobraźni: „Z nudów zaczynam sobie wyobrażać, że i ja jestem Niemcem i angażuję się w ich atmosferę patriotyzmu. „Ich liebe Deutschland” — szepczę sobie w duchu i widzę rozległy kraj” itp. — albo snucie przypuszczeń co do siebie, że może by się przenieść na stałe do Francji, bo Polski przecież może już nie będzie. Zapewne, są to myśli, nie mające nic wspólnego ze sferą rzeczywistości i odpowiedzialności postaci. Autor podaje je w charakterze eksploratora prawdy psychologicznej niezorganizowanej jaźni swego bohatera — niemniej jednak nie przestaje to być rażące. Obiektywizm tego rodzaju — kiedy autor nie zrywa dotychczasowej psychicznej solidarności z postacią — jest niebezpieczną przesadą.

Tak samo dziwaczne są — w każdym innym kontekście może subtelne uwagi o pełniejszej egzystencji zmarłych w naszej rzeczywistości psychicznej — po ich zgonie, niż za życia — kiedy te rozważania stosuje autor przez „najniewinniejszą” metaforę — do ojczyzny. Tutaj winę za nieodpowiedzialną dywagację trudno składać na bohatera.

Stosunek zresztą do problemu patriotyzmu w „Jeziore Bodeńskim” nie zostawia żadnego miejsca na dwuznaczności. Co do „wielkiego skandalu” końcowego nie może być nieporozumień, po tym, co wiemy o zasadniczej postawie rozbijania fałszywych ról i szukania najwykleszej ale „prawdziwej prawdy” uczuć. Skromność wyrazu uważa Dygat za niezbędny warunek szczerości takich uczuć — i sam potrafi wyrażać je z wielkim wdziękiem. Zupełnie bez kpin wypowiedziany zostaje jego sentyment do polskiego krajobrazu, cizy i szerokości horyzontów — i do polskiej duszy w Mickiewiczowej czy Juliuszowej poezji. Umie przekazać nam tu swoje uczucia przekonująco i mocno.

Właśnie patriotyzm i narodowość — to głównie poruszane tematy w tym kosmopolitycznym obozie. W dyskusjach z Vilbertem i Mac Kinleyem — i przy innych okazjach, daje nam autor liczne portrety narodowe. Najbardziej interesujące są jego uwagi o Niemcach. Niemcy są dla niego reprezentantami szpetoty w porządku świata (Francja — której poświęca słowa pełne uczucia — przedstawicielką piękną). Rola historyczna Niemiec zostaje streszczona dowcipnie (! — jakie dziwne przecież miejsce dla dowcipu —) fikcyjnym raportem żołnierza niemieckiego wobec pomnika Fryderyka Barbarossy: „Od ośmiu wieków żadnych szczególnych wydarzeń. W dalszym ciągu usiłujemy podbić, oblegać i zrównywać z ziemią”. Psychologię odnoszenia się „zwykłego Niemca” do całej sprawy tej wojny tak interpretuje: — żołnierz niemiecki na pytanie, czy bardzo nienawidzi Polaków i Francuzów, odpowiada „Ich liebe Deutschland” — „widzę, że jest to skrajny wypadek solipsizmu narodowego. Francja i Polska to tylko pewne rekwizyty niemieckiego odnoszenia się do sprawy, nie posiadające samostanowienia bytu, będące tylko jakimś niemieckim przedstawieniem”. — „Niemcy mają taki zwyczaj, że grzecznie coś proponują, a jeżeli odmówić, za-

czynają natychmiast krzywić... Już sama ta ich zupełnie niesłychana zdolność natychmiastowego przechodzenia do krańcowo różnych metod obcowania, które normalnie człowiek z trudem i z niechęcią rozkłada sobie na tygodnie, a nawet miesiące, stawała pod znakiem zapytania ich przynależność do gatunku ludzkiego”.

Te i inne rozważania, o których nie mamy możliwości tu już mówić, zajmują niemało miejsca w książce, posiadającej charakter „powieści refleksyjnej” (Proust!). Akcja jest z natury rzeczy skąpa, przy czym nacisk położony jest na stronę psychologiczną. Wszystkie środki dążą do tego, by właśnie akcentować ubóstwo akcji, stagnację, „statyczny” charakter czasu w tym środowisku. Sugestia jest pełna. Akcja „współczesna” obejmuje okres zaledwie paru dni, który za to „rozciągnięty” jest wspomnieniami i rozważaniami przeszłości oraz fragmentami pamiętnika — tak jak rzeczywistość nabrzmiała była pamięcią. W ten sposób zaznaczona jest ważna rola przeszłości w życiu psychicznym tej „wyspy” i kontynuowanie pewnych postaw przedwojennych w tym obo-

Zygmunt Jurkowski. Wielki egzamin. Powieść. Kraków, Eugeniusz Kuthan, 1946; str. 323 i 1 nl.

Tematy wojenne wydają się na pozór wdzięcznym polem popisu dla piszących. Wyrazistość przeżyć kuśi do wyrażenia ich w słowie literackim, a rzekoma łatwość przelania na papier bezpośrednio zaobserwowanych zjawisk zachęca, szczególnie debiutantów, do podjęcia wątków okupacyjnych, obozowych, batalistycznych... Człowiekowi, który otarł się o śmierć, wydaje się, że nie ma nic prostszego jak odwrócenie momentów osobiście przeżytych; wydaje się, że przeżyło się je najmocniej i odczuło w sposób szczególny. Z tego przekonanania powstaje proza autentyczna, którą na krótką metę trudno nieraz odróżnić od prozy artystycznej. Nieostrożny autor, niby skąpiec, usiłuje wszystkie zdobyte doświadczenia włączyć do jednego skarbcza — do jedynej swojej książki. Zamiast skarbcza powstaje niestety zbyt często muzeum niesamowitości. Po przeżyciu 6 lat koszmaru — otepieliśmy. Długie opisy wyszukanych bestialstw, jeśli powtarzają się — męczą tylko, zamiast wzruszać.

Ale wojna staje się też zerowiskiem dla producentów powieści sensacyjnych i niesławnej pamięci romansów zeszytowych. Na szczęście okazów takich jest jak dotąd niewiele. Miejsce „czarnych charakterów” zajęli tu ponurzy SS-mani, etaty „szlachetnych” obsadzili bojowniowość i wolność. Książki takie dyskredytują niepotrzebnie i szkodliwie istotny ogrom cierpienia i powagę walki z okupantem.

Książka, w której autentyzm środowiska i postaci łączy się z lekką sensacyjnością fabuły, jest powieść Zygmunta Jurkowskiego „Wielki egzamin”. Do sensacyjności akcji przyczynia się tu wprowadzenie Niemców jako współbohaterów powieści. Nie są oni jakąś daleką, obcą siłą. To dobrzy znajomi, z którymi się obcuje towarzysko, jeździ do knajp, ubija interesy. To współzyciele doprowadza do konfliktu, ale jest to konflikt o podłożu nie politycznym, patriotycznym, lecz... erotycznym.

Trudno sprawiedliwie osądzić książkę napisaną przez 2 autorów. Z. Jurkowski jest twórcą zaledwie szkieletu powieści, bo ostatecznie wykończył ją Jarosław Janowski. Nie wiadomo komu przypisać winę za złe strony książki, a komu zasługę za jej pozytywne osiągnięcia. Niewątpliwie dodatnią jej cechą jest umiar w malowaniu niebezpieczeństwa wojny. Dalej, jej satyryczne zacięcie w przedstawianiu stosunków i postaci przedwojennych. Autor czuje się zresztą najlepiej ze swoimi bohaterami w restauracjach. Na tle kawiarnianych barów przewijają się sylwetki ministrów i gwiazd elity towarzyskiej ówczesnej Warszawy. Powieść ta jest — jeśli można takiej nazwy użyć — powieścią konwersacyjną. Większą jej część stanowią dialogi prowadzone z łańcic dziennikarską sprawnością. Opisy są umiarkowane, wymuszone, ubogie w realia. Tok opowiadania toczy się wartko, potyka się jednakże co pewien czas na węzłach i spójnieniach poszczególnych fragmentów. Widać w tym trudność, jaką miał do pokonania Jarosław Janowski wiążąc w całość niedokończoną szkic. Niektóre miejsca uderzają wskutek tego wyjątkową wprost słabością. Może zostały wkomponowane później?

z. Jest to bardzo znamienne. Cała problematyka nieznosnego bohatera tkwi przeciw korzeniami w strukturze kulturalnej życia sprzed 1939 r. Nastęstwo i zepłatanie się odpowiednich fragmentów teraźniejszości i przeszłości są przemyślane i efektowne, współgra oba planów chronologicznych jest przeprowadzona bardzo subtelnie.

Kiedy nie bawi się w teatr kukiełek — potrafi być Dygat także sentymentalny i z tym bardzo lekki i uroczy. Wśród drwiny, żartu, ciąglej rozgrywki słów i myśli — ładnie szkiegowane obrazy mają specjalny wdzięk: panna Konstancja i francuski prapradziadek w różnym zachodzie słońca na ganku polskiego dworku, historia owego prapradziada.

To wszystko jest łatwe, dostępne, o treści uczuciowej dobrze przyswajalnej czytelnikowi — stąd książka ma powodzenie, dobrze się czyta.

A przecie i ten żart — ciągnie za sobą cień smutku i zmęczenia i świadczy, że pisany był w rozłącze z ojczyzną i moralnym cierpieniu. Perspektywę, widziane nad jeziorem Bodeńskim, są też dokumentem wojny, wyznaniem o „niezwykłej i mało męskiej niewoli”.

Janina Pragerówna

## Niezdany egzamin

Oto np. opis walki:

„Ponad głowami leżących rozległy się nagłe wrzaskliwe okrzyki. Wrogowie jak drapieżcy spadli na wioskę, biorąc ją w posiadanie. Padły strzały, powodując rozpaczliwe, błagalne wołania i zawrozenia. Wkrótce zwały się te odgłosy w jakiś niesamowity chór, w którym dominowały gardłowe ryki zdobywców na tle jęków, płaczu i szlochania.” Niestety, podobnych opisów jest więcej.

Najlepszą bodaj partią powieści są fragmenty pamiętnika Janusza z obozu jeńckiego. Tu napotykamy jego rzadkie „odkrycia” w otaczającym go świecie, świadczące, że autobiograficzne i autopsyjne momenty wychodzą autorowi naj- lepiej (Jurkowski był po powstaniu warszawskim w obozie w Niemczech).

Ludzie z książki Jurkowskiego są dziwne i płasy. I jak gdyby beznamiętni. Żyją — odwołując się kawiarnie, trochę pracują, kochają się (raczej myślą, że się kochają). Jeden Wojan ma jakąś ideologię, czegoś chce. Co prawda postulaty jego są mętne, niezupełnie skryształizowane. Nie obeszło się też w książce bez postaci oryginalna wielkomiejskiego, astrologa Bończy Sawickiego.

Główna postać powieści, Janusz Stokrot, jest takim sobie lekkoduchem, zyjącym z dnia na dzień w otoczeniu wysokich urzędników, kapitalistów i pseudoartystów. Miłość, a potem współzyciele małżeńskie Janusza z Teresą, córką ubożego rzemieślnika, to wyraz uczuciowości opartej na czysto fizycznym poocięgu. Pod koniec książki zyskuje ta miłość jakąś aureolę uduchowienia i dziwny czytelnika zachowanie się Janusza po zabiciu (przez Niemca) Teresy, jego rozpacz, jeśli kilkanaście kartek wstecz opadają go wątpliwości, czy słusznie postąpił żeniąc się z nią. A już ostatecznie konsternuje czytelnika oświadczenie jego przyjaciół nad zwłokami Teresy:

„Pomyśl, jak wiele zawiądzasz tej kobiecie. Od czasu gdyś ją pokochał, porzuciłeś próżne miłości, oddaliłeś się od różnych intryg i pustego, kawiarnianego życia. Zaczęłeś dojrzewać duchowo...” — mimo że Janusz uprzednio podziwiał w niej... „rozum kurczęcia”. Okazuje się, że Teresa uchroniła męża przed zdemoralizowaniem. Zrobiła niby swoje. Teraz, wydawałoby się, Janusz stoi już na mocnym gruncie. Ale kiedy zaszyły w nim jakieś przemiany? Rzeczywiście, pod koniec postać Janusza (a także Teresy) rozmazuje się, jakby mięknie, lecz też zmianę przypisałbym raczej drugiemu autorowi tej książki, w którego rękach sylwetki te, może ledwie dostrzegalnie, ale jednak zmieniły się.

Zupełnie nieprzekonywająco wypadła scena zabójstwa Teresy. Czytelnik odczuwa wyraźnie, że tu za wszelką cenę chciano powieść zakończyć.

„...Masz przed sobą, mój kochany, drugi(?) wielki egzamin. I musisz ten egzamin zdać chlubnie, cum maxima laude” — powiada — w dalszym ciągu nad zwłokami Tereski — Wojan, szkiełując w tych słowach niewyraźną przyszłość Janusza, w której chwalebność musi się uwierzyć na słowo. Znajac jednak Janusza z 323 stron lekkomyślnej, nonszalancjkiej pustoty, w której nie ma nawet śladu pierwszego egzaminu, odnosi się czytelnik co do tej pozaokładkowej przyszłości z dużym niedowierzaniem.

Tadeusz Konwicki, j

\* Stanisław Dygat, Jezioro Bodeńskie, Warszawa, „Wiedza”, 1946; str. 290 i 2 nl.

NAKŁADEM  
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ

»CZYTELNIK«  
UKAŻĄ SIĘ W CIĄGU  
PAŹDZIERNIKA

JANINA DĄBROWSKA  
I ELIZA PETRUSEWICZ

GEOGRAFIA  
GOSPODARCZA  
EUROPY

I WYBRANYCH KRAJÓW  
POZAEUROPEJSKICH

WANDA DOBACZEWSKA

KOBIETY  
Z RAVENSBRÜCK

ARKADY FIEDLER.

ZWIERZĘTA Z LASU  
DZIEWICZEGO

ARKADY FIEDLER

KANADA  
PACHNĄCA ŻYWCĄ

BIBLIOTECKA MŁODEGO CZYTELNIKA

PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH

TOM I

ARKADY GAJDAR

TIMUR  
I JEGO DRUŻYNA

NATALIA GAŚSIOROWSKA

KAPITALIZM  
W ROZWOJU  
DZIEJOWYM

PAWEŁ HERTZ

DWIE PODRÓŻE

POEZJE

TOM PIERWSZY CYKLU  
»ŻYWOTY NIEUROJONE«

LUDWIK HIRSZFELD

HISTORIA  
JEDNEGO ŻYCIA

ST. JODŁOWSKI  
W. TASZYCKI

ZASADY  
PISOWNI POLSKIEJ  
I INTERPUNKCJI

ZE SŁOWNIKIEM ORTOGRAFICZNYM  
WYDANIE PIĄTE

LEON KRUCZKOWSKI

KORDIAN  
I CHAM

POWIEŚĆ

ZOFIA NAŁKOWSKA  
MEDALIONY

BIBLIOTECKA MŁODEGO CZYTELNIKA  
TOMIK 8

ELIZA ORZESZKOWA

A... B... C...

# WALLACE I STALIN

W r. 1924, w roku „prosperity“, pół procent mieszkańców Stanów Zjednoczonych posiadało 43 procent majątku narodowego, zaś 36 procent zarabiających zarabiała poniżej 2 000 dolarów rocznie, poniżej amerykańskiego „minimum egzystencji“. — W kraju, który obejmuje 6 procent ludności świata, a 45 procent bogactwa światowego, w roku 1930 koncentracja majątków i warsztatów produkcyjnych poszła jeszcze dalej: 200 firm miało przeszło 50 procent wartości wszelkich warsztatów produkcji, a 600 firm — miało 2/3 tych warsztatów.

Koncentracja bogactwa posunięta jest w Stanach Zjednoczonych dalej niż w jakimkolwiek kraju świata. A równocześnie Stany Zjednoczone są jedynym — poza Hiszpanią zdaje się — krajem, w którym państwo nie ingeruje w sprawę podziału majątku narodowego. Gdyby, w oderwaniu od przeszłości, w oderwaniu od ustroju politycznego, w oderwaniu od demokracji politycznej, ograniczyć się do podziału społeczeństw świata według jednego kryterium: stosunku państwa do podbudowy gospodarczej, trzeba by po jednej stronie postawić wszystkie bez mała państwa świata, po drugiej Stany Zjednoczone. We wszystkich państwach przyjęto zasadę, że ustawodawcy wolno przejąć pewne rodzaje dóbr gospodarczych i zakładów produkcji na własność ogółu, inaczej, wolno rozdzielić pewne dobra między obywateli. W Stanach Zjednoczonych obowiązuje nadal zasada, że państwu tego nie wolno.

Roosevelt tej zasady nie naruszył. Przeprowadził tylko zasadę, że państwo może ingerować w sprawę podziału dochodu społecznego, że państwo regulując płać i ceny, może regulować pośrednio stopę zysku przedsiębiorcy. Ale nie mógł porużyć sprawy majątku.

Te fakty zdają się być koniecznym punktem wyjścia dla oceny obecnej polityki Stanów Zjednoczonych. Za-

danie zmiany dotychczasowego stanowiska państwa wobec zagadnień gospodarczych musi rosnąć w Stanach. Żądanie kontynuacji i dalszej rozbudowy drogi, na którą wszedł Roosevelt, musi być coraz silniejsze. Ale to oznacza konieczność wielkiej wewnętrznej przebudowy. Przebudowa taka wymaga pokoju. A ponieważ pokój grozi tym, iż przebudowa zostanie dokonana, obawa wojny pozwala przebudowę odwlekać. Nie sądzę, by przeciwnicy linii Roosevelta, przeciwnicy Wallace'a, chcieli rzeczywiście wojny — ale w ich interesie gospodarczym nie leży atmosfera pokoju. Nie sądzę, by chcieli konfliktu ze Związkiem Radzieckim — ale pokój i atmosfera pokoju — to wzrost przekonania, że system radziecki jest trwały i równoprawny, a istnienie komunizmu w wielkiej części świata nie może być wzmacnieniem kapitalizmu w jakimkolwiek, choćby największym mocarstwie.

Na tym tle zrozumiałym jest konflikt Byrnes—Wallace, ale rozumiałe są także zmiany w tonie rozmów anglo-radzieckich w ostatnich tygodniach. Wizyta Labour-Party w Moskwie. Przemówienie Edena. Wywiad Stalina, wywiad przede wszystkim pokojowy, ale także wyraźnie zawierający inne akcenty w stosunku do Anglii niż w stosunku do Stanów Zjednoczonych — to wszystko objawy tego samego zjawiska. Mimo realnych różnic politycznych (Grecja, Bliski Wschód) łatwiej jest, zdaje się, o wspólny język anglo-radziecki, niż o wspólny język amerykańsko-radziecki. Gdyby chcieć sądzić, że to skutki zamiany Churchilla na labourzystów i zamiany Roosevelta na Trumana — byłoby to uproszczeniem zagadnienia. W Ameryce Roosevelta rządziła middle class z udziałem intelektualistów, w Ameryce Trumana rządzi wielki przemysł. W Anglii Churchilla rządził wielki przemysł i torysowska arystokracja, w Anglii labourzystów rządzi robotnicy i intelektualiści. Tu

i tam zaszła zmiana w układzie sił klasowych. Wielki kapitalizm amerykański wzmacnił się gospodarczo w czasie wojny i jest w ofensywie, wielki kapitalizm angielski wyszedł z wojny osłabiony i jest w defensywie.

Mieczysław Niedziałkowski mówił w r. 1930: „Jest to epoka przejściowa między dawniejszymi i nowymi formami ustroju społecznego, najeżona kolosalnymi trudnościami gospodarczymi, społecznymi, kulturalnymi i, powiedzmy, ogólnopolitycznymi“. Jako sposób możliwie bezpiecznego przejścia przez tę epokę widział „jak najszerze masy społeczne, przede wszystkim robotnicze dla nas socjalistów, masy włościańskie dla stronnictw chłopskich, masy pracownicze itd. nie tylko przywiązać do państwa, ale stworzyć w nich poczucie stałej, niezmiennej odpowiedzialności za państwo“. Ale to tylko jedna z trzech możliwości. Te psychologiczne warunki dla epoki przejściowej można stworzyć różnymi metodami.

Można próbować, czy nie da się przetrzymać epoki przejściowej przy pomocy „mystyfikacji“ niebezpieczeństwa zewnętrznego. Tej metody próbowały ustroje faszystowskie i powrót do niej, po doświadczeniach faszystów, nie wydaje się bezpieczny. Można być zmuszonym do dyktatury klasowej jako jedynej realnej możliwości — przykład radziecki pokazał, że metoda ta, w pewnych sytuacjach konieczna, wymaga wielkich ofiar. Można przejść przez tę epokę przy pomocy jak najszerzej rozbudowy demokracji politycznej i społecznej. Ta metoda wydaje rezultaty, ale wymaga najwyższego stopnia dojrzałości społeczeństwa. Roosevelt wskazywał Stanom Zjednoczonym tę trzecią metodę. Jej odrzucenie i próba wybrania pierwszej mieści w sobie wielkie niebezpieczeństwa, nawet dla tak silnego kapitalizmu jak amerykański.

Konstanty Grzybowski

## PRZEGLĄD PRASY

Sprawa młodzieży, tak głęboko niepokojąca na różnych swoich etapach i poziomach, znalazła nowy wyraz w „Pokoleniu“, dwutygodniku literacko-społecznym, który pod red. Romana Bratnego zaczął wychodzić w Warszawie. Tytuł pisma określa jego ambicje; i jakkolwiek czytelnik, na podstawie dotychczas wydanych dwu numerów, nie może uznać, iż „Pokolenie“ spełniło nadzieje, jakie żywić był on wprawdzie w stosunku do pisma, które reprezentować chce idee „pokolenia AK“ (a „idea AK to była idea powszechna — wojska polskiego; jej sens tkwił w masowości, i powstanie tę ideę sprawdziło“ — pisze ze zniechęcającą pewnością siebie „Pokolenie“) — na pewno nie zechce jednak ten czytelnik odmówić „Pokoleniu“ zarówno szczerości w stawianiu zagadnień, jak i próby poważnej rewizji pojęć i zastoi myślowych.

Pod tym względem znamienity jest programowy artykuł Bratnego „Próba rachunku“ Bratny zwraca swe pretensje w stronę „reżimu“ i, stwierdzając, że niemal wszystkie niechęci jego obozu do rzeczywistości politycznej nie płyną z przyczyn zasadniczych, oraz, że wszystkie niechęci wzajemne dadzą się dziś usunąć — kończy swój artykuł apelem: „Trzeba zacząć! Powiedzieć jak to było z tym „wyjściem“ z powstania?“. Otóż odpowiedź zawarta jest już między wierszami jego artykułu. Cóż bowiem przyznaje? Czyn powstańczego „otwierza przeszedł do legendy, „teraz chcemy coś z tego czasu zrozumieć. Trzeba coś sobie wyjaśnić“ Legenda nie jest i nie może być do tego powołana, jest to „w pierwszym rzędzie rzeczą zdrowego rozsądku“ Głos rozsądku, który się odzywa z dwuletnim opóźnieniem, nie może jednak mieć mocy działania wstecz Rozbrajając przyznaje się Bratny, imieniem dołów AK, do braku orientacji politycznej, do zrozumienia dopiero po fakcie, iż doły zapłaciły za klęskę, której zawinił politycy Zrozumienie, przyzna nie się do błędów i winy, mogłoby stać się momentem zwrotnym i to mimo pochopnego wniosku, jaki wysnuwa Bratny z „przyznania się do służenia w obozie politycznego błędu“. Czy będzie nim?

Jak Bratny formułuje swe oskarżenie? Istotą jego zarzutów jest ujemny jakoby, a często niemal wrogi, stosunek obozu rządowego do „wychodzących z powstania“ akowców. „To co ideologicznie dzieli nas od dzisiejszej rzeczywistości kraju, to są rzeczy znikome, a przecież w rzeczywistości dzisiejszej dzieli nas tak wiele uprzedzeń i zawinionych krzywd“. Taki jest punkt wyjścia. Wynika z niego zapytanie, tylko „na oko“ omijające istotę rzeczy: „wytlumaczcie, dlaczego tak wielu z nas spotykały obozy internowanych i aresztowania. Czy innej drogi nie było?“ Pytanie jest gorące i szczerze, a pozornie słusznie uмотywowane. Ale błąd rozumowania wykazał łatwo. Wiemy, jak bardzo gorliwie i przemocą włączano nie tylko w głowy oficerów, ale i żołnierzy AK nienawiść do „rządu lubelskiego“ i absurdalną, tragicznie nierozumną, zapiekłą nienawiść do wszystkich, co szło ze Wschodu. Brak zaufania był więc naturalną reakcją, zaufanie należało sobie dopiero zdobyć. Wydaje nam się, że „Pokolenie“ jest właśnie takim zdobywaniem.

„Próba rachunku“ Bratnego jest zresztą, jak dotychczas, odosobnioną w swoim znaczeniu pozycją „Pokolenia“. Stanowczą przewagę ma bowiem w piśmie twórczość oryginalna; trudniej się zdobyć na syntezę niż na fragmentaryczne opisy, wrażenia i wspomnienia. Poezję w „Pokoleniu“ reprezentują Borowski, Bratny, Różewicz, Stolarek, Topornicki i Ziembicki, większość tych autorów zabiera również głos w prozie, przy czym ta dwoistość pracy pisarskiej nie wychodzi na dobre poezji i jest raczej dowodem poszukiwania drogi. Najbardziej uderzająca z tego punktu widzenia jest twórczość Bratnego: drukuje on wiersze, prozę literacką, prozę krytyczną, rozważania polityczne, a również fragment dramatyczny. Wszelkoność zastanawiająca. Wszelkoność niebezpieczna dla młodzieży autora Rada, której godził się mu udzielić, to przede wszystkim postulat przestrzegania dyscypliny, opanowywania żywiołu i niepoddawania się nurtowi literackiego tempera-

mentu, który kieruje zazwyczaj ku morzu gadulstwa i twórczych łatwizn. Jako zaś redaktorowi „Pokolenia“ należy Bratnemu doradzić usunięcie chudej i niedowcipnej stroniczki satyry.

W zakresie prozy nowelistycznej zatrzymujemy się w „Pokoleniu“ przy „Nocach i świcie“ Witolda Zalewskiego. Autor, nie wolny zresztą od pewnej manieri w zmierzaniu do pogłębienia psychologicznego rysunku bohaterów, pokazuje, co z człowieka, nawet z walczącego bojowca, może zrobić strach. Ulubionym jego chwytym jest przeciwstawienie jednostce mniej wartościowej wymarzonego księcia niezłomnego.

Silną stroną „Pokolenia“ są reportaże: J. Chrama-Piórkowskiego „Mosty“, choć niezupełnie wytrzymałe do końca, są całością mocną i wzruszającą, oszczędną w wyrazie. Bardzo spokojna i męska, opanowana relacja J. Pytlakowskiego („Kapitulacja“) potwierdza już dawniej wyrażony, dodatni sąd o tym autorze i jego pisarskich możliwościach. Interesujący jest reportaż J. Wielunia „Pas de Calais“ o repatriantach z Francji, ich uspołecznieniu i gotowości do pracy. Jakby antytezą tej tezy jest Z. Stolaraka „Burta generała Andersa“, obraz beznadziejności ludzi, którzy dali się sami wyrzucić za burtę życia polskiego; dobrze się stało, że właśnie taki reportaż ukazał się w młodym „Pokoleniu“.

I dobrze się stało, że w „Młodej Rzeczypospolitej“ (nr 16) pokolenie najmłodsze wszczęło dyskusję na temat „Co sądzę o konspiracji“, że pewien harcerz potępił młodzieżową „psychozę broni“, uporeczywo sen broni i zbrojnej akcji. „Naszym ideałem nie przestał być konspirator, bojowiec, chłopiec z lasu“ — słusznie charakteryzuje podharcemistrz postawę sporej części młodzieży. Różne „Janosiki“ umacniają jeszcze ten „ideał“. Dobrze, że sami młodzieńcy zaczynają rozumieć jego zło i bezsens Wyrażamy nadzieję, że wzmagający się ożywczy i zbawczy ferment obejmie także i te najbardziej tragiczne, bo młodzieżowe okopy Świętej Trójcy.

Jaszcz

NAKŁADEM  
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ

»CZYTELNIK«  
UKAŻĄ SIĘ W CIĄGU  
PAŹDZIERNIKA

NINA RYDZEWSKA

AKWAMARYNA

POWIEŚĆ

II WYDANIE

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

RAFAŁ Z LASU

OPOWIADANIA

HENRYK SIENKIEWICZ

W PUSTYNI  
I W PUSZCZY

WYDANIE NOWE

ANTONI SŁONIMSKI

WYBÓR  
POEZJI

ST. STRUMPH-WOJTKIEWICZ

GWIAZDA  
WŁADYSŁAWA  
SIKORSKIEGO

BIBLIOTECKA MŁODEGO CZYTELNIKA

PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH

TOM 2

LEW TOLSTOJ

DZIECIŃSTWO

TOLSTOJ ALEKSY

DROGA  
PRZEZ MĘKĘ

TOM II

ROK 1918

STANISŁAW TWORKOWSKI

ARCHITEKTURA  
WSI

MATERIAŁY DO DYSKUSJI

BIBLIOTECKA MŁODEGO CZYTELNIKA

TOMIK 7

WANDA WASILEWSKA

SKRZYDŁA  
U RAMION

OPOWIADANIE

KAZIMIERZ WYKA

MODERNIZM  
POLSKI

JEGO STRUKTURA I ROZWOJ

BIBLIOTEKA CZYTELNIKA

TOM I

STEFAN ŻEROMSKI

NOWELE  
OPOWIADANIA  
FRAGMENTY

Z WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI  
KAZIMIERZA WYKI

BIBLIOTEKA TEKSTÓW USTAW

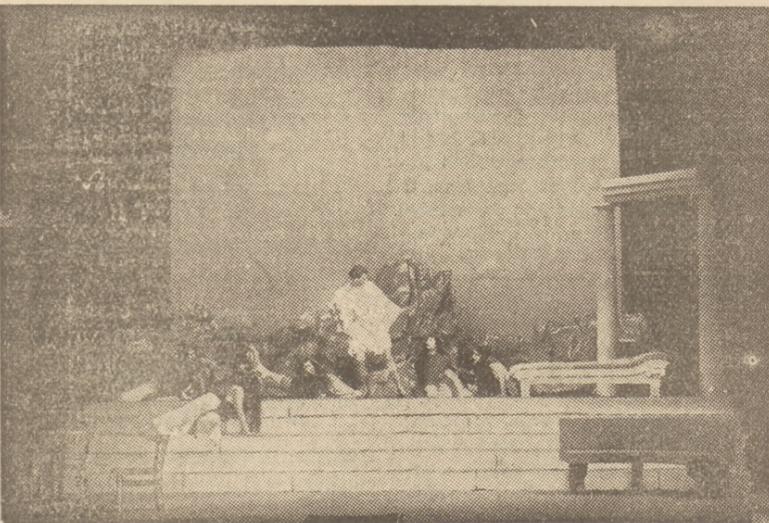
KODEKS  
HANDLOWY

## TEATR ZIEMI POMORSKIEJ W TORUNIU

»Orfeusz« A. Świrszczyńskiej



HERMES (Salaburski), EURYDYKA (Maślińska), CERBER (Gołdecki)



Scena z Aktu I

## „BALLADYNA” W BIELSKU I CIESZYNI

Te wakti w „Balladynie”, które Słowacki pościagał z Szekspira, są pełne uroku i poezji; natomiast własne koncepcje z Popielem, koroną polską odziedziczoną po Scywie itd. trąca jakąś podejrzanej klasy mitologią. Niestety obiektywne tragedii tak się ze sobą zamykają, że niesposób wyrokować z nich samej poezji. Należy więc wybór scen zmontować w ten sposób, by się całość jako tako trzymała kupy i by tej poezji pozostało jak najwięcej. Tak też postąpił Stanisław Kwaskowski, wystawiając „Balladynę” na otwarcie sezonu brat-

nich teatrów w Bielsku i Cieszynie. Przed wojną krytycy wciąż narzekali, że aktorzy polscy, szczególnie młodzi, nie potrafili mówić wiersza. Widocznie im to młodo. Wiersz „Balladyna” był przez zespół bielski mówiony nienaganie, chwilami nawet bardzo pięknie. I dzięki temu „Balladyna” zwyciężyła na całym froncie. Mocnego sprzymierzenia znalazła w Feliksie Krassowskim, który stworzył oprawę sceny prostą i wyrazistą, a niezbyt kosztowną... bo z tym niestety muszą się bardzo liczyć teatry w Bielsku i Cieszynie. ams



Scena trzecia aktu piątego „Balladyny”: GONIEC (Jerzy Krukowski) i KOSTRYN (Stanisław Malatynski) — BALLADYNA (Wanda Stanisławska)

## WRZEŚNIOWE WYSTAWY

Większość obrazów wystawionych obecnie w gmachu Krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych można by włączyć do postimpresjonizmu, już choćby z przyczyn chronologicznych. W związku z tym odslania się nam fakt słabej przydatności naukowej tego terminu, gdyż są nim obejmowane zjawiska tak różnorodne, że trzeba dla nich szukać określeń ściślejszych i węższych. Do postimpresjonizmu można np. zaliczyć zarówno kapistów, jak Jana Hryniewskiego, który nie ma z nimi nic wspólnego. Tamci uprawiają raczej kolorystyczną analizę, Hryniewski zaś postępuje się mniej zróżniczowanym, niż tamci, zespołem barwnym, a stosuje ją do szeroka plamę czy smugę barwną. Zestawione na jego zbiorowej wystawie obrazy dowodzą ustalenia się jego sposobu malowania, jego środków wyrazistych. Większość, bo osiemnaście wystawionych obrazów, przedstawia martwe natury; obok nich widzimy dziesięć pejzaży i sześć studiów portretowych. Proporcje dotyczące tematyki obrazów Hryniewskiego są zatem zgodne z dzisiejszymi zwyczajami malarstwa.

Co do stylu tych obrazów, to określają go: duży kontur, spora plama barwna i wyraźna skłonność do programowych zestawień kolorystycznych z tym, że nad zasadą wielobarwności góruje raczej zasada wspólnego tonu. Trafiają się obrazy utrzymane w ciepłej, żółtawej tonacji,

to znowu zielonkawo-błękitnej lub różowej. Oprócz wspólnego tonu występują też w obrazach akcenty, których zadaniem jest ożywienie zespołu barwnego, jak i jego wypuklenie przez kontrast. O formie malowideł decyduje także dążenie do znaczących nieraz uściwień elementów przedmiotowych, co niesiekiety tłum ich przyrodzone bogactwo. Wchodzi tu też w grę pewien geometryzm, zresztą umiarkowany, który stanowi pewne dalekie echo przestrzennych formacji Cézanne'a. Dalekie dlatego, że w obrazach Hryniewskiego brylowatość bywa podporządkowana płaszczyźnie. Pewien ascetyzm jego płóciennych wywołuje, rzadko na szczęście, wrażenie, iż pewne partie obrazowe są nieco puste, jak gdyby niedokończonym pod względem „malarskim”.

Oprócz obrazów olejnych wystawił artysta jeszcze kilkanaście jasnych w kolorze i pogodnych temper oraz około trzydziestu rysunków, głównie piórkowych. Niewielkie te rysunki (akty, dzieci i studia pejzażowe), wykonane przy pomocy różnych metod fakturowych, zasługują na wyróżnienie zarówno dla swojej energicznej konstrukcji, jak i w innych przypadkach, dla swej łagodnej i delikatnej kreski.

Malarstwo Pawła Dadleza, zmarłego w r. 1940 w 36 roku życia, według mojego mniemania nie wytrzymało próby czasu. W jego malarstwie dostrzegają się

pewną dwukierunkowość. Bowiem, obok obrazów ściśle naturalistycznych zwracają uwagę obrazy w pewnym sensie stylizowane i „manierystyczne”. Obrazy typu naturalistycznego, wzorowane pozornie na autentyczności i rzetelności Holendrów, albo na intymności Chardina, są dość wiernymi podobiznami ludzi i rzeczy, ale nie są jeszcze dziełami sztuk. Z braku celowej organizacji elementów przedmiotowych i przetworzenia ich na wartości estetyczne. Ani ich struktura przestrzenna, ani układ wykładów poszczególnych rzeczy, ani ich tony barwne nie zostały bowiem poddane jakiejś zasadzie jednoczącej.

Wielofiguralne zaś kompozycje artysty, aczkolwiek noszą ślady kalkulującej tendencji w odniesieniu do wartości przestrzenno-rysunkowych i kolorystycznych. Nie sprawiają jednak wrażenia pełni i nie wynikają z jakiejś głębszej konieczności formalnej. Noszą za to piętno manierysty, mu wraz z takimi cechami, jak „mocny” w założeniu, a w praktyce trochę jakby „wydęty” kanon postaciowy i sztywne koloryt — tyle dyskretny czy szlachetnie sytuony, ile po prostu ubogi. Zamierzona srebryzność partii pejzażowych przemienia się w spoieliatą szarość, a ni-

skie rejestry barwne innych, np. figuralnych partii malowidła, ujawniają pewnego rodzaju bezsilność. Niektóre z tych sielankowych obrazów z przedstawieniem omglonych słońcem sadów, nieco fantastycznej architektury i ludzi oddanych pogodnym zajęciom, zawierają pewien ładunek emocji, posiadają pewne własności, które w okresie Młodej Polski oznaczono by terminem nastroju, ale i nastroj ten kojarzy się tutaj z pojęciem anemii. Wśród eksponatów wystawy bieżącej zwróciły moją uwagę cztery obrazy Alojzego Siweckiego i trzy Zdzisława Truskolaskiego. Niewątpliwie wartości kolorystyczne posiada szeroko malowana „Martwa natura z jarzynami” Siweckiego, utrzymana w gamie niebieskawej, urozmaiconej czerwonym akcentem pomidorów. Sporych wymiarów kompozycja figuralna Truskolaskiego „Sw. Franciszek kaze do ryb” stanowił śmiałe zestawienie zimnej i nieco surowej zieleni z pewnym gatunkiem czerwieni zgodnie z zasadą barw dopełniających; nad warstwą elementów przedmiotowych górują w tym obrazie kłóści abstrakcyjno-dekoracyjne, trochę jeszcze powierzchniowe i niezupełnie zestrojone w jednolity całość. Tadeusz Dobrowolski

## FILHARMONIA I OPERA W KRAKOWIE

Stoimy u progu nowego sezonu muzycznego w Krakowie. Inauguracyjny koncert Filharmonii w dniu 27 września poświęcony był w całości muzyce polskiej; w tym dwa utwory z muzyki nowszej i najnowszej — Paderewskiego Koncert fortepianowy w wykonaniu Stanisława Szpinalskiego. Dyrygował W. Bierdajew.

Nowością w tym programie był i Koncert na orkiestrę smyczkową Tadeusza Kasserna, kompozycja napisana podczas wojny i świeżo wydana staraniem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie. Jest to niewątpliwie utwór dojrzałego talentu i wybitnej techniki. Stanowi on, wraz z II Koncertem na ten sam zespół oraz Koncertami na inne instrumenty (flet, klarnet, kontrabas), jedno z ogniw zapoczątkowanej przez Kasserna serii kompozycji orkiestrowych specjalnego typu, które mają po części za cel idee rozbudowy tej formy w naszej literaturze muzycznej — a po części są eksperymentem w dziedzinie efektów barwno-dźwiękowych jako środków wypowiedzi artystycznej w muzyce.

Dziedzina ta z dawną interesuje Kasserna, jak świadczył już o tym Koncert na głos z towarzyszeniem orkiestry, tak popularny u nas i za granicą. Oczywiście, że takie założenie z góry narzuca pewne ramy inwencji twórczej; jest to muzyka lżejszego gatunku, zawsze doskonale brzmiąca i świetnie skomponowana, choć niezupełnie nowa w inwencji; nie w znaczeniu dosłownych reminiscencji — Kassern jest zbyt poważnym kompozytorem — ale w znaczeniu pewnego specyficznego stosunku do materiału dźwiękowego, typowego dla następców impresjonizmu we Francji (Ravel) i niektórych kompozytorów rosyjskich w pierwszym dwudziestolecioleciu XX wieku (Prokofiew — część ostatniego Koncertu Kasserna). Mam przy tym zastrzeżenia co do samego sposobu wykonania tego utworu; brzmienie orkiestry było dobre, czasem nawet bardzo dobre, ale całość potraktowano za ciężko (zwłaszcza część pierwszą), nieodpowiednio do samej treści muzycznej.

Występ Stanisława Szpinalskiego nie wypadł tym razem tak efektywnie jak w ostatnim sezonie (wspaniałe wykonania koncertów fortepianowych Czajkowskiego i Szellowskiego). Winiem temu przede wszystkim Koncert Paderewskiego, nie tylko niekiedy, ale — poza samą partią fortepianową — mocno już przestarzały w instrumentacji i technice kompozytorskiej. Szpinalski jako wykonawca przeszedł jak gdyby mimo jego treści muzycznej z pewną nonszalancją, z dużą byskotliwością gry, chwilami trochę znużony (trudno mu się zresztą dziwić) i w rezultacie jego osiągnięcie artystyczne nie było na jego miarę. Zwrócić należy uwagę na jego miarę. Zwrócić należy uwagę na jego miarę. Zwrócić należy uwagę na jego miarę.

Zagrana na zakończenie Uwertura Szalowskiego jest numerem „murowanym”; jej werwa i dowcip, w tym zwłaszcza programie, nie chybiły celu, były pożądaną przeciwagą Koncertu Paderewskiego.

Wyrazić należy radość z powodu stabilizacji materialnych podstaw bytu Filharmonii Krakowskiej i chóru. Jest zatem nadzieja, że zespół będzie miał

nareszcie normalne warunki pracy i że Dyrekcja nie będzie musiała uciekać się do różnych imprez „kasowych”, ale będzie mogła realizować program zdążający wyłącznie do podwyższenia poziomu i popularności muzyki. Cieszymy się, że w bieżącym sezonie dyrekcja Filharmonii obiecuje nam występy już nie tylko polskich, ale i zagranicznych dyrygentów i solistów, bo to oznacza normalizację życia koncertowego i niewątpliwie przyczyni się do rozszerzenia horyzontów naszej publiczności.

Należy jednak zawsze pamiętać, że poziom — to nie wyłącznie dyrygent i solista, a więc — ogólnie mówiąc — wykonawca, ale przede wszystkim program. Równocześnie dyrekcja Filharmonii zamierza wprowadzić pewne zmiany w organizacji koncertów: zlikwidować poranki niedzielne, zamiast koncertów popularnych wprowadzić w niedzielę przed południem stałe powtórzenia programów piątkowych dla młodzieży gimnazjalnej, szkół zawodowych itp. po cenach bardzo niskich. Innowacja ta wydaje mi się słuszną, gdyż dawny rozkład koncertów (w piątek i w niedzielę) nie może się utrzymać, ponieważ — po pierwsze — orkiestra nie ma czasu na próby, a po drugie czas już najwyższy, by znieść ową przegrodę, oddzielającą sztukę dla „elity” od sztuki dla szerszych warstw publiczności. Pracujemy przecież nad umuzykalnieniem mas, staramy się podnieść poziom naszego słuchacza, musimy więc dążyć, by go wychować do słuchania muzyki poważnej i najlepszej. Jest jedno tylko zastrzeżenie: program koncertów piątkowych nie może iść na ustępstwa ze względu na powtórzenia na koncertach popularnych, bo w takim wypadku cała sprawa minęłaby się z celem.

Z olbrzymim wysiłkiem i nakładem pracy uruchomiono nareszcie w Krakowie Operę, którą kierują J. Maklakiewicz, Bierdajew i Osterwa. Wprowadzili jeden czy dwa spektakle w tygodniu nie rozwiązują jeszcze sprawy bez reszty, ale sam fakt ma wystarczającą wymowę. Uruchomienie placówki, która dla popularności muzyki ma olbrzymie znaczenie, zapewniło ważną lukę w naszym życiu muzycznym.

„Cyryllik sewilski”, którego wystawiono na otwarcie sezonu, cieszył się dużym powodzeniem, przede wszystkim dzięki uroczeli kreacji Rozyny, którą dała Barbara Kozłowska. Jest to niewątpliwie jedna z najdoinalejszych naszych młodych śpiewaczek; jeżeli były tym razem pewne niedociągnięcia w intonacji, to na pewno znikną one z biegiem czasu. Z innych partii wyróżnił się A. Wołak jako Figaro, kulturalny i muzyczny, oraz poprawny na ogół Kłownowski (Almaviva) i Manasterska (Marcelina); w dobrym ton utrafił Folański (doktor Bartolo) i Mazanek (Don Basilio). Całość oczywiście nie była doskonała, jeśli idzie o styl (za mało lekkości, swobody, zbyt wolne tempo), ale w tych warunkach nie może być inaczej. Chóry prowadzone przez A. Kopyńskiego wywiązały się dobrze ze swego zadania, podobnie jak orkiestra pod batutą Bierdajewa. Przy jakiejś takiej pomocy ze strony miasta opera krakowska może się z czasem rozwinąć w solidną placówkę, zwłaszcza, gdy wzbogaci i urozmaici swój repertuar. Stanie się wówczas tym czynnikiem kultury muzycznej, który w takim mieście, jak dzisiejszy Kraków, jest niezbędnie potrzebny. Stefania Łobaczewska

## TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

## POEZJA

Władysław Broniewski. Drzewo rozpaczające. Łódź, „Książka”, 1946; str. 88 i 4 nl. — 60 zł.

Władysław Broniewski. Bagnet na brzoń. Łódź, „Książka”, str. 46 i 2 nl. — 35 zł.

Tadeusz Hołuj. Wiersze z obozu. Łódź, „Książka”, 1946; str. 69 i 3 nl.

Roman Kiełkowski. Desant niebieski. Kraków, Stefan Kamiński, 1946; str. 137 i 1 nl. — 100 zł.

Paweł Kubisz. Przednówek. Wyd. II. Łódź, Związek Zawodowy Literatów Polskich, Oddział Krakowski, 1946; str. 92 i 4 nl. — 100 zł.

Stanisław Jerzy Lec. Spacer cynika. Satyry, fraszki. Łódź, „Czytelnik” 1946; str. 129 i 5 nl. — 150 zł.

Elwina Obilus (Wilhelm Luttenberg). Błękitny pielgrzym. Warszawa, 1946, str. 24.

Zenon Wł. Posner. Bez patosu. Tel-Aviv, 1943; str. 16.

Józef Prutkowski. Cicha lipa. Katowice, „Awir”, 1946; str. 62. — 80 zł.

Leopold Staff. Wiersze wybrane. Kraków, „Czytelnik”, 1946; str. 182 i 2 nl. i 1 fot. — 200 zł.

Artur Maria Swinarski. Pamflety, parodie, paradosy, 1926—1946. Katowice, „Awir”, 1946; str. 57 i 1 fot. — 80 zł.

Elżbieta Szemplińska. Krzyż Warszawy. Wiersze zebrane. Warszawa, „Nowa Epoka”, 1946; str. 191 i 7 nl. — 200 zł.

PRAWO, SPRAWY SPOŁECZNE I GOSPODARCZE

Prof. Dr. Florian Barciński. Podstawowe zasady ekonomiki. Wydanie II, zmienione. Poznań, Narodowy Instytut Postępu i Księgarnia Wł. Willak, 1946; str. 96. — 120 zł.

Józef Jan Bossowski, prof. U. P. Władomości z nauk kryminologicznych. Poznań, „Księgarnia Akademicka”, 1946; str. XII i 72. — 120 zł.

Harrington Emerson. Dwanaście zasad wydajności pracy. Opracował i skrócił Dr. Bronisław Wojciechowski. Łódź, „Poligrafika”, 1946; str. 86 i 2 nl. — 90 zł.

Biblioteka Socjalizmu Naukowego. Karol Kautsky. Nauki ekonomiczne Karola

Marksa. Łódź, „Książka” 1946; str. 283 i 5 nl.

Biblioteka Tekstów i Ustaw Nr. 2 A. Kraków, „Księgarnia Powszechna” 1946; str. 280. — 200 zł.

Paweł Z. Kozłowski. Problematyka gospodarki planowej. Wrocław, „Czytelnik”, 1946; str. 43 i 1 nl. — 30 zł.

Julian Makowski. Organizacja Narodów Zjednoczonych. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 32. — 25 zł.

Systematyczny przegląd ustawodawstwa Polski odrodzonej. Ustawy, Dekrety, Rozporządzenia. Okólniki. Wyjaśnienia. W opracowaniu Dr. Stefana Nowińskiego, adw. Mieczysława Wara, Dr. Jerzego Wiszniewskiego, przy współudziale Dr. Janusza Różańskiego. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 837 i 3 nl. — 800 zł.

Henryk Batowski. Współpraca stowianiska. Zagadnienia polityczne, kulturalne i gospodarcze w przeszłości i teraźniejszości. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 103 i 1 nl.

Wacław Jastrzębowski. Gospodarka niemiecka w Polsce 1939—1944. Legnica, „Czytelnik”, 1946; str. 410. — 700 zł.

Barbara i Eugeniusz Olszewscy. Plan odbudowy i przebudowy Warszawy. Warszawa, Naczelna Rada Odbudowy, 1946; str. 11 i 1 nl. i 2 wkładki.

Nowe „Spolem” w nowej Polsce. Rok 1945. Warszawa—Łódź, Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P., 1946; str. 139 i 3 nl. i XVII tablic.

Biblioteka Uniwersyteckich Robotniczych. T. VI. Dr. Władysław Śledzicki. Wprowadzenie do nauki o spółdzielczości. Kraków, 1946; str. 128. — 80 zł.

Sprawozdanie z działalności spółdzielni za rok 1945. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik” w Krakowie, ul. Bracka 6. Kraków 1946; str. 52.

Sprawozdanie z inauguracyjnej sesji Naczelnej Rady Odbudowy m. st. Warszawy w dniu 4 stycznia 1946. Warszawa, 1946; str. 98.

## MARX I ENGELS PO POLSKU

W ostatnim zeszycie „Przeglądu Socjalistycznego” poddano słusznej krytyce praktykę tłumaczenia pism Marxa z przekładu rosyjskiego, zamiast z oryginału niemieckiego. Przeczocono jedno: czyż można i wypada „wydawać” przekład „Manifestu Komunistycznego” bez wstępu Engelsa do drugiego polskiego wydania (Londyn, „Przedświt” 1892). Słowa Engelsa: „Polskę, która od 1794 roku dla sprawy rewolucji więcej zrobiła, niż wszystkie te trzy narodowości (Włosi, Niemcy, Węgrzy) razem wzięte, pozostawiono samej sobie, gdy w r. 1863 upadła pod dziesięćkroć potężniejszą przemocą rosyjską. Szlachta nie potrafiła ani utrzymać, ani odzyskać niepodległości; dla burżuazji jest ona dziś co najmniej obojętna. Może być ona wywalczona tylko przez młody proletariats polski, w jego rękach jest bezpieczna. Albowiem robotnicy całej pozostałej Europy potrzebują niezależności Polski równie jak sami polscy robotnicy” — te słowa, skierowane do pierwszej polskiej grupy marksistowskiej „Proletariat”, testament polityczny współtwórcy marksizmu, powinny być znane każdemu polskiemu socjaliście. Wielką zasługą „Książki” jest, że wydaje klasyków marksizmu, wielką jej wadą, że wydaje ich nie zawsze na poziomie, nie zawsze z uwzględnieniem potrzeb społeczeństwa polskiego.

## NAPIWEK

Podobno aż w dwóch kolejnych numerach tygodnika „Dziś i Jutro” dwaj jego humorysty pękają ze śmiechu z powodu jednego zdania w moim przemówieniu wygłoszonym na obiedzie „Odrodzenia”. Zdanie to brzmiało: „Należy do tych teoretyków poezji, którzy wprost twierdzą, że poezją jest to, co nie jest prozą i na odwrót: proza — to zaprzeczenie poezji”.

Przeczytałem tylko jedno „gadun... gadun” („Dziś i Jutro”, nr 37), mianowicie Kalinki „O teoretykach” i też śmiały się do rozpuku, gdybym to moje zdanie posłuchał z ust człowieka mającego takie tylko poczucie humoru jak Kalinka. Lecz ja wypowiedziałem je na bankiecie do słuchaczy, którzy — mrugnawszy porozumiewawczo okiem — umiemy już śmiać się ze śmiechu gruboskórnych pocziwców, biorących rzeczy dosłownie i dających się zbyt łatwo nabrać na śmiech nie à propos.

Choć — po prawdzie — trudno się śmiać z prostaczka, który nawet po zdaniu, które winno go było zreflektować i pouczyć, jak się ma w danym miejscu śmiać, śmieje się — ku mojemu śmiechowi: „Twierdzenie to jest tak proste, że wydaje się aż zuchwale” — mówilem dalej z surową powagą, kryjąc uśmiechem. Takiego uśmiechu między wierszami nie umie dostrzec współczesny służący u pana Jourdain. On już słyszał jak Nauczyciel filozofii dawał lekcję Jourdainowi definiując: „Co nie jest prozą, jest wierszem i na odwrót”. Już wie, że z tego trzeba się śmiać, ale jeszcze nawet nie przypuszcza, że może być gra autoironii i kpinki, skryty cudzy słów uśmiechu, humor o stopniu wyższym, nieosiągalnym dla lokaja pana Jourdain. Molierowski służący byli sprytniejsi, ten współczesny nie umie czytać między wierszami.

I jak tu się śmiać z takiego biedaka? Współczuję mu raczej, kiwam głową nad nierozgarniętym i daję napiwek. J. Przybysz

## STEFAN OTWINGOWSKI

## NAGROBEK

## POWIEŚĆ

»Książka«

263